Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena 30 gr.

GŁOS

DWUTYGODNIK POLSKIEJ MYŚLI NARODOWEJ

Nr. 1 Poznań, dnia 5 stycznia 1935 Rok V

„Imię Polski nie wielkie i święte, jeno największe jest i najświętsze".
Jan Kasprowicz „O miłości Ojczyzny"

Posłannictwo młodych

Jednem z zasadniczych znamion, zachodzących dziś w świecie przeobrażeń duchowych jest gruntowna zmiana postawy duchowej nowego człowieka wobec otaczającej go rzeczywistości — zmiana idąca, ogólnie rzecz biorąc, od pewnej cząstkowości, fragmentaryczności ku zupełności, ku totalizmowi.

Człowiek, schodzącej do grobu epoki, nie odczuwał naogół potrzeby kształtowania życia we wszystkich jego dziedzinach według pewnych ściśle określonych wytycznych, nie odczuwał, w ślad za tem, potrzeby brania odpowiedzialności za losy społeczeństwa na swoje wyłącznie barki, a przeciwnie, spychał ją z całą satysfakcją na czynniki poza nim leżące, mało uchwytne, dając temsamem dowód zupełnego braku zmysłu dla heroizmu.

Partje polityczne sens swój widziały w reprezentowaniu pewnych partykularnych interesów, byt zaś ich polegał więc na pewnej współzależności, na konieczności zachowania „równowagi" — z rozpadaniem się jednego ugrupowania partyjnego, traciło i sens także powołane do walki z niem i jego partyjne przeciwieństwo. Jasnem jest, że dla człowieka nowej, zbliżającej się epoki, to chodzenie drogą wypadkowej, wskazywanej przez liberalizm, jest czemś nieznośnem. Tu też tkwi chyba najistotniejsza przyczyna niemożności porozumienia się ludzi epoki przebrzmiałej z ludźmi czasów nowych.

Poniżej pragniemy pokrótce zwrócić uwagę na konsekwencje, wynikające z rozbieżności tych tendencyj z jednej strony w dziedzinie ideowo-politycznej, z drugiej zaś — moralnej.

Polityk o zacieśnionym horyzoncie myślowym do pewnych partykularnych interesów, uważający się za ich reprezentanta, nastawiony wyłącznie na aktualne zagadnienia chwili, musiał specjalnie uwzględniać najróżnorodniejsze czynniki, reprezentujące w społeczeństwie pewną siłę. Jego wartość oceniano według umiejętności wygrywania tych sił i robienia ich swem powolnem narzędziem. To też nic dziwnego, że mijający okres upływał w polityce pod znakiem wszechwładnie panującego kompromisu, kompromisu ze staremi, tkwiącemi w społeczeństwie siłami. W ślad za kompromisem kroczył jak zwykle oportunizm i odstręczająca wszystkich poważnie i prawdziwie wierzących w ideę, prostytucja ideowa: tego nie można powiedzieć, bo się obrazi jakiś dostojnik i zakaże głosować na nas, tego nie można powiedzieć, bo się obrazi inny dygnitarz itd.

Od tego wszystkiego młode pokolenie narodowe odcina się z całą bezwzględnością. Młode pokolenie narodowe nie potrzebuje i nie chce kompromisu ze staremi, zmurszałemi „siłami" minionych kierunków: 1) dlatego, że samo jest wystarczającą siłą, aby się z przeciwnościami uporać, 2) dlatego, że ma aspiracje stwarzania nowych ośrodków siły politycznej i moralnej, tchnących świeżością i prawdziwą mocą. Wreszcie dlatego, że nie ma zamiaru myśli swojej krępować narzuconemi z zewnątrz więzami, pragnie zaś myśleć po polsku i tylko po polsku.

Jeżeli teraz od zagadnień ideowo - politycznych przejdziemy do moralnego — to uderzy nas podobny obraz. Można powiedzieć, że we wszystkich ugrupowaniach politycznych minionej epoki istniał pewien wyrównany „poziom moralności" t .zn., że kierowały się one wszystkie burżuazyjno - racjonalistyczną etyką w tym czasie obowiązującą. Umoralniającemi hasłami posługiwano się często i wygłaszano je z patosem, traktowano je jednak raczej jako okazję do przypięcia łaty przeciwnikowi politycznemu, poza tem uważano, że hasła te mogą obowiązywać ewentualnie wszystkich, wygłaszający je jest w każdym razie od ich stosowania zwolniony. Przy ogólnym partykularyźmie nie mogło być mowy o walce o głęboką i zasadniczą przebudowę moralną, która znajduje w pełni zrozumienie dopiero w młodem pokoleniu narodowem.

To też młode pokolenie narodowe odcina się stanowczo od praktyk, stosowanych do niedawna. Wytępione być muszą one z całą bezwzględnością na terenie organizacyj narod., które już dziś muszą być wspaniałym wzorem praktycznego stosowania narodowej moralności. Tylko taka, granicząca z najwyższem poświęceniem, moralność narodowa, nakazująca rezygnację z osobistego widzimisię i ambicji, może utrzymać w zwartości, koncentracji moralnej, wielki ruch masowy.

(Dokończenie na stronie 12-tej)



„Nareszcie, gdy pokłon
Panu już oddali,
Z wielką wesołością
Do swych trzód wracali.

Że się stali być godnymi
Boga widzieć na tej ziemi,
Gloria, gloria in excelsis
Deo!"

Malował: prof. Władysław Roguski.

Fot. R. S. Ulatowski.

Bóg się rodzi

Na polach dywan puszysty i biały —
stół biały i biały opłatek —
świat się wybielił, wyśnieżył się cały —
skrzą gwiazdy.

Biały opłatek biorą drżące dłonie,
opłatek biały...
coś się wzruszyło i zadrgało w łonie —
czyjeś tam szronem wysrebrzone skronie
chylą się nisko, by spić łzę ukradkiem
— lecz łza spłynęła po ustach, co drżały
i padła przed białym opłatkiem...

Niebiańska jasność blaskami olśniewa,
skrzy brylantami w śniegowej powodzi —
w ciszy wieczora...
gdzieś się słodyczą wśród świateł rozśpiewał
jakiś cudowny, niewidzialny chorał:
CHRYSTUS! — BÓG SIĘ RODZI!

Rodzi się Miłość, Słodycz, Cud — Zbawienia
jakiś wiew boski wokół się rozścielił —
wybielił serca i dusze wybielił...
...i już nie boli... już zmilkły westchnienia...

Cicho!... Bo Słowo już się Ciałem stało.
Słowo...
Już biegnie echem przez przestrzeń śniegową
tak cicho, słodko... uroczyście... było...
drży, błękitnieje strugą światła jasną —
coś tak rozpiera, coś tak sercu ciasno...
Och!...

Rozepchnąć ściany i wybiec na śniegi
i wziąć ze sobą ten opłatek biały,
obdzielić sercem niebo i świat cały!...
Hej!... wszystkich, wszystkich po krańce,
[po brzegi!...
Stopić się jaźnią w brylantowym cudzie,
w rozmigotanych tysiącach promieni
i gnać z blaskami od chaty do chaty...
do ciemnych sieni;
zabłysnąć gwiazdą, co na niebie wschodzi
i krzyczeć wszystkim: słuchajcie, o ludzie!
CHRYSTUS! BÓG SIĘ RODZI!

K. Dobrzyński, Łódź

W numerze:

DR. KAROL STOJANOWSKI

Chłop a państwo narodowe

V. Oświata zamożność i twórczość

Zabierając się do pisania uwag poświęconych wyżej wymienionym sprawom, opowiem jedno moje osobiste przeżycie. Kiedy jako młode, chłopskie dziecko wstępowałem do nowo wtedy utworzonego przez rząd austrjacki gimnazjum w Trembowli, musiałem przy otwarciu tego zakładu wysłuchać kilka okolicznościowych przemówień. Nie wiele wtenczas z tego jeszcze rozumiałem, nie wiele też do dziś zapamiętałem. Utkwił mi właściwie w pamięci jedynie pewien frazes z przemówienia trembowelskiego dziekana grecko - katolickiego, Rusina ks. Latuckiego. Mówił on zapewne o ważności nowo otwartego zakładu dla kultury okolicznych chłopów. Między innemi wygłosił on następujące zdanie: „Czomu chłop bidnyj — bo durnyj, a czomu durnyj — bo bidnyj." (Dlaczego chłop biedny, bo głupi, a dlaczego głupi, bo biedny).

Zdanie to zapamiętałem sobie na całe życie. Przez dość długi okres myślałem, że w tym dylemacie doli chłopskiej zawiera się całe chłopskie życie całe wogóle zagadnienie chłopskie. Przez pewien nawet czas myślałem jakby ulżyć chłopskiej doli i zastanawiałem się, od którego końca zacząć: od oświatowego czy też gospodarczego. Zapisałem się nawet w związku z temi rozważaniami na wydział rolniczy i brałem dość czynny udział w tak zwanej akcji oświatowej. To moje postępowanie nie było zresztą w Polsce czemś nadzwyczajnem. W ostatniem półwieczu polskie sfery oświecone wogóle podchodziły do sprawy chłopskiej od tych dwóch końców to jest od oświaty i zamożności. Z oświatą i akcją gospodarczą podchodziły do chłopa wszystkie polskie grupy polityczne. Na skutek tego zarówno ta oświata jak też i momenty gospodarcze przedstawiały bardzo różnorodną wartość. Były tam bowiem wartości istotne oraz plewy propagandy i agitacyj rozmaitych, nieraz bardzo doktrynerskich ugrupowań. Co więcej niektóre ugrupowania były wybitnie antychłopskie a co zatem idzie antynarodowe; wystarczy tu wspomnieć socjalizm.

Ale wróćmy do moich osobistych wspomnień. W tym samym czasie, gdy w duszy mojej żyła i w miarę moich osobistych możliwości realizowała się suggestja wieku, tak lapidarnie sformułowana przez owego ruskiego dziekana, życie zaczęło mi powoli sączyć inne suggestje. Zacząłem się mianowicie przekonywać, że bardzo często podchodzące do zagadnienia chłopskiego z obu wymienionych końców nie uzyskuje sie dodatnich wyników. Wiele obserwowałem takich wypadków, że ani współczesna oświata ani też zamożność chłopska nie działają korzystnie zarówno na poszczególnych chłopów, jak też na chłopów jako całość oraz na naród. Nie chciałbym, aby mnie źle zrozumiano. Nie jestem oczywiście bezwzględnym przeciwnikiem oświaty ludu czy też jego zamożności. Myślę jednak, że nie można bedzie uzdrowić naszych stosunków wiejskich, jeśliby się wierzyło, że tylko za pomocą tych dwu momentów poprawi się wszystko na wsi.

Dość często np. obserwuje się u nas po wsiach zjawisko, któreby można nazwać oświatowem porażeniem. Taki porażeniec czyta co mu wpadnie w ręce bez wyboru, a często bez zrozumienia. Z przeczytanych książek tworzy mu się w umyśle niesłychany zamęt. Oczywiście odnosi się on do swego chłopskiego otoczenia z pewnego rodzaju pogardą, wychodząc sam na kiepskiego Sokratesa. Gospodarstwem i pracą, tego typu człowiek, nie zajmuje się wtedy całkiem, a stanowi tylko materjał na agitatora, kandyduje na pisarza, oglądacza, wreszcie na przywódcę sekty religijnej. Ile szkody moralnej i materjalnej potrafi we wsi narobić tego typu chłopski filozof, to wiedzą wszyscy, którzy się kiedykolwiek ze wsią spotykali. I zamożność nie zawsze daje błogosławione skutki. Iluż to zamożnych chłopów przestaje wogóle pracować na roli, odnajmując ją biedocie wiejskiej i prowadząc żywot rentierów, ograniczając swój przyrost naturalny, nierzadko zaś przeleniuchowując ładny warsztat pracy.

Tymczasem jest na wsi pewna ilość chłopów, ogarniętych jakąś gorączką tworzenia i pracy. Taki chłop niekoniecznie zbyt oświecony, bo zdarzają się pomiędzy nimi i analfabeci, raczej niezamożny niż zamożny, haruje od świtu do nocy, oszczędza, zagania do pracy całą swą rodzinę, coś wiecznie nowego buduje, co roku jakiś budyneczek, sadzi sady, rzuca się na rozmaite nowości gospodarcze, hoduje bydło, sprzedaje masło i jaja do miasta, w zimie przykłada się do domowego przemysłu itp. Dom jego przez cały rok przedstawia jakby fabrykę, tętniącą życiem i twórczością. Po całożyciowej pracy dochodzi on po sprzyjających okolicznościach do wielkich wyników, tworzy wioskową fortunę. Uposaża on bardzo często o wiele lepiej swoje liczne potomstwo, niżeli jego uposażył ojciec; bardzo często taki właśnie chłop kształci swe dzieci w szkołach a nawet w uniwersytecie. Co ciekawe, że właśnie ci chłopi nierzadko mają wielkie ambicje kulturalne, fundują oni figury przydrożne, kaplice, ołtarze itp.

Nie potrzebuję oczywiście udowadniać, że taki typ chłopa jest społecznie dodatni. Najistotniejszym momentem tej jego dodatniości przytem nie jest samo wzbogacenie się, choć i to nie jest bez pewnego społecznego znaczenia. Jest nim natomiast moment twórczości i pracy, cechującej tego typu chłopa. Twórczość ta podnosi nietylko poziom kulturalny wsi i kraju, ale, co jest jeszcze bodaj ważniejszem, stwarza ona poczucie szczęścia u jednostki twórczej. Twórczość zatem jest jedną z największych więzi społecznych, więzi o tyle przyjemnej, że przynosi pożytek nietylko społeczeństwu, ale też i jednostce. Stąd zasadą narodowego programu w stosunku do chłopa i do wsi jest takie ułożenie stosunków w Polsce, aby możliwą była możliwie największa, najintensywniejsza twórczość chłopa w Polsce.

Nie zamierzam tutaj sformułować całokształtu takiego programu, zwłaszcza, że nie jestem do tego przygotowanym. Chciałbym tylko wskazać pewien kierunek ,w którym powinna iść nasza myśl, aby program ostatecznie skonkretyzować.

Jeśli tedy mowa o oświacie, to musi ona być taką, aby istotnie dawała chłopu w rękę środki do wzmożenia jego twórczości. Odnosi się to zagadnienie zarówno do szkoły, jak też do oświaty pozaszkolnej, do działalności rozmaitych towarzystw oświatowych. Obserwując zaś to wszystko, co się u nas pod względem oświaty robi, trudno powstrzymać się od krytyki, ba, nawet od bardzo nieprzyjemnych przewidywań i trosk co do naszej przyszłości. Nasza oświata wiejska jest prowadzona po doktrynersku i właściwie niesłusznie tak się nazywa, gdyż mało kogo w czemś oświeca. Chłopi, niepozbawieni tak jak nasza inteligencja realizmu, pokpiwają sobie na potęgę ze szkoły, z jej wycinanek, pońistwowego wychowania, pięknoduchowstwa, powierzchowności, a przedewszystkiem z jej obcości dla wiejskiego środowiska. Cóż z tego, kiedy szkoła ta pomimo to działa i systematycznie robi z naszych chłopów materjał na proletarjat. Mam wrażenie, że w tych sprawach o wiele więcej orjentowała się nasza stara Komisja Edukacji Narodowej, aniżeli czynniki obecne, organizujące nasze szkolnictwo. Współczesne szkolnictwo wiejskie w postaci tak zwanej szkoły jednolitej względnie w formach do tej szkoły zbliżonych, zorganizowano nie pod kątem interesów chłopa jako takiego i interesów narodu, ale pod kątem interesów nauczyciela szkoły powszechnej. Celem szkoły nie jest przygotowanie chłopa do życia, jakie on będzie musiał możliwie najlepiej dla siebie i swego narodu spędzić, ale przygotowanie go do gimnazjum i na odbiorcę inteligencko-miejskiej kultury. A że ta inteligencka kultura u nas jest dziś kulturą typu odbiorczego, konsumenckiego, przeto chłop przesiąka w szkole psychiką konsumenta, podczas gdy on ma spełniać rolę wytwórcy. Czy nie tu na przykład należy szukać częściowego wytłumaczenia tego faktu, że chłop tak szybko i tak chętnie zatracił swą starą i piękną kulturę życia codziennego a z nią bodaj wogóle bardzo dużą część kultury. Przecież dziś już wszystko otrzymuje chłop z miasta. Zdaje się tedy, że najwyższy czas aby dokonać radykalnego zwrotu w dziedzinie chłopskiej oświaty, zmierzając w niej do wychowania chłopa na twórcę zarówno w dziedzinie gospodarczej jak też i kulturalnej. Uczyć by zatem należało chłopa zarówno w szkole jak też i poza szkołą nietylko elementów gospodarki chłopskiej, ale też elementów kultury życia codziennego, oczywiście dostosowanej do poziomu i stylu życia chłopskiego a nie karmić go odpadkami z wielkomiejskiego stołu kultury, całkiem dla chłopa niezrozumiałych i powiedzmy sobie niestrawnych. W tej dziedzinie jest właściwie u nas wszystko do zrobienia i młodzi polscy pedagogowie mają olbrzymie pole do popisu zupełnie niewyzyskane. Dobrzeby było aby młodzi narodowo myślący pedagogowie zajęli się twórczością na tem polu.

Trzeba sobie jednak uświadomić, że szkoła bardzo mało może jednak wpłynąć na to, aby wieś nasza stała się zarówno na terenie gospodarczym jak też i kulturalnym aktywnie twórczą. Minął już wiek, w którym wierzyło się w omnipotencję oświaty. Zwłaszcza w tej dziedzinie oświata może niezbyt wiele. Są przecież analfabeci zasługujących na miano wielkich twórców, a „oświecenie" nie zawsze sprzyja twórczości. Te właściwości są bowiem częściowo dziedzicznemi właściwościami duchowemi, a częściowo wytwarza je życie, a więc współzawodnictwo, ambicje jednostek i warstw, ambicja narodu jako całości, dobry przykład a wreszcie środowisko społeczno - polityczne, jego prawa i zwyczaje, nakoniec ustrój i nastrój społeczny.

Za najważniejszy moment w tej dziedzinie uznać należy bezwarunkowo ustrój i nastrój społeczny panujący w danym narodzie. W naszych czasach trzeba o tych rzeczach pamiętać przedewszystkiem z powodu radykalnych przeobrażeń ustrojowych, dotyczących właśnie władania ziemią, prawa własności do niej i związanej z tem gospodarki realnej. Prawo własności ziemi zostało zniesione w dwu wielkich sąsiadujących z nami krajach. Rosja wprowadziła u siebie upaństwowienie własności ziemskiej, potworzyła wielkie folwarki, a chłopów przemieniła w robotników rolnych, zależnych od administratora folwarku. Chłop rosyjski przestał być w zupełności własnowolnym gospodarzem i twórcą, a stał się proletarjuszem. Niemiecka reforma rolna zerwała także z indywidualną własnością chłopską. Majątek chłopski w Niemczech stał się właściwie własnością rodu chłopskiego, a przez korporację chłopską nawet w pewnym stopniu własnością państwa, chłop zaś bardzo ograniczony w swych prawach został jednocześnie w sprytny sposób przywiązany do gleby. Jeżeli bowiem nie można majątku sprzedać to jest to niewątpliwie pewnego rodzaju „glebae adscriptio". Nie ulega wątpliwości, że stosunki niemieckie i rosyjskie będą w pewnym stopniu oddziaływać na nasze życie. Możemy się doczekać czasów, że zaczniemy w Polsce naśladować pomysły rosyjsko - niemieckie w dziedzinie naszego ustroju rolnego, tak jak to dziś czynimy w dziedzinie organizacji szkolnej. Naśladownictwo to byłoby jednak w skutkach swoich bardzo szkodliwe, gdyż zabiłoby w naszym chłopie przedsiębiorczość, samodzielność i twórczość.

Cnoty te jednakże zabić może nietylko to, co nazwałem ustrojem, ale także to co możnaby podciągnąć pod miano nastrojów, chociaż także może ono być wynikiem pewnych ustrojowych momentów. Wszystkie powyżej wymienione cnoty chłopskie można zabić także nie wprowadzając formalnie ograniczeń w prawie własności ziemi. Wystarczy, żeby przy ustroju opartym nominalnie na indywidualnej własności prywatnej uniemożliwiono chłopu przez wysokie podatki i pośrednie daniny możność darabiania się.

(Dokończenie na stronie 12-tej).

Gospodarka narodowa

Prawdopodobnie świat nigdy nie doszedłby do zupełnego urzeczywistnienia chorobliwych wizyj wylęgłych w głowach doktrynerów w rodzaju Wellsa lub Russela, jednak, jak to zauważył Bierdjajew, autor „Nowego średniowiecza", utopja okazała się w wielu dziedzinach łatwiejsza do zrealizowania niż to się początkowo wydawało. Dziś, znalazłszy się o krok od wcielenia się w życie wizji „cywilizacji przemysłowej", umysły mniej doktrynerskie przeraziły się tego, co chciano nazwać „nowym, wspaniałym światem" i rozpoczęły gwałtowny odwrót, odwrót do tego, co jeszcze niedawno skazane było na zagładę, co stanowiło najgłówniejszą przeszkodę w zrealizowaniu „nowego", „postępowego" świata.

Zwrócono się po ratunek aż w „mroki średniowiecza"...

Wyrazem tego żywiołowego nawrotu jest doskonała, zarówno co do swej treści jak i ujęcia, z prawdziwym talentem napisana książka Adama Dobrzyńskiego pt.: „Gospodarka Narodowa"*).

Składa się ona z dwu części; pierwszą stanowią „Chrześcijańskie zasady życia gospodarczego" sformułowane przz św. Tomasza z Akwinu, wykazanie nieprzemijających wartości systemu gospodarczego chrześcijańskiego średniowiecza.

> „Przy obecnym wysokim stanie naszej wiedzy i cywilizacji nie umiemy poradzić sobie z problemami, które w dużym stopniu rozwiązało średniowieczne społeczeństwo, wyłaniające się w stanie zupełnie surowym, zarówno pod względem intelektualnym, jak i moralnym, z „ciemnych wieków", następujących po upadku cesarstwa rzymskiego. Może niezawsze umiano trafnie zastosować zasady św. Tomasza, może zbyt często względy polityczne, przemoc władców i stanów, paczyły funkcjonowanie systemu. Lecz stworzone wówczas zręby społeczne okazały zadziwiającą odporność na zmienne koleje losów gospodarczych świata. Dziś jeszcze możemy uważać te społeczeństwa za najzdrowsze pod względem struktury gospodarczej, które z biegiem wieków najmniej odbiegły od swego średniowiecznego pierwowzoru". (Str. 8).

Zamiast z gruntu fałszywego dylematu: kapitalizm lub komunizm, stawia autor „Gospodarki narodowej" inny: materjalizm (obejmujący zarówno kapitalizm jak i komunizm — oba wytwory ducha żydowskiego) albo ustrój narodowy oparty na chrześcijańskich zasadach gospodarczo-społecznych.

Konkretnym rozważaniom nad systemem gospodarki narodowej („Narodowy ustrój gospodarczy") poświęcona jest druga część tej niezwykle interesującej książki. Ustrój ten opiera się w zupełności na zasadach chrześcijańskiego średniowiecza, oczywiście jak najściślej dostosowaną do stosunków polskich.

Wielką zasługą tej książki jest przedewszystkiem skonkretyzowanie zasadniczych - wytycznych, na których powinien się opierać narodowy ustrój gospodarczy, sprowadzenie idei narodowej do spraw realnych oraz śmiała i udatna próba ich rozwiązywania.

Na tym gruncie istnieje niewątpliwie podobieństwo z pracą Giertycha „O program polityki kresowej".

Drugą zasługą jest bezapelacyjne wykazanie, że polski ustrój narodowy i chrześcijański to synonimy, pojęcia, których rozłączyć niepodobna.

Jeżeli dodamy do tego „Rasizm przeciw Słowiańszczyźnie", gdzie prof. Stojanowski uważa katolicyzm za naszą ideę uniwersalistyczną, w oparciu o którą powinniśmy się przeciwstawić zarówno rasizmowi jak i bolszewizmowi, to wyszukiwanie sprzeczności pomiędzy katolicyzmem a polskim ruchem narodowym jest już dziś naprawdę jak powiadają Francuzi: „zbieraniem nawozu z pod drewnianych koni".

Podstawą narodowego ustroju gospodarczego jest upowszechnienie własności, zarówno ze względów gospodarczych, społecznych jak i moralnych. Strona moralna, pomijana zupełnie przez ekonomistów ze szkół materjalistycznych, zostaje tutaj wysunięta na właściwe miejsce. Ustrój narodowy jest synonimem ustroju sprawiedliwego, opartego na sprawiedliwości chrześcijańskiej, która w zasadzie da się sprowadzić do dwu pojęć: „godziwej płacy" i „godziwej ceny".

Upowszechnienie własności, uwłaszczenie mas godzi w podstawy współczesnego kapitalizmu, szybkim krokiem zdążającego do kolektywizmu, przez maszynizm i koncentrację produkcji.

Narodowy stosunek do maszynizmu i kolektywizmu jest jasny.

Jest on taki sam jak do wszystkich innych wytworów ducha żydowskiego wyprodukowanych na eksport — Zdecydowana walka!

> „Istnieją zasadniczo tylko dwa systemy gospodarcze: jednym jest system wolnego człowieka, pracującego na własnym warsztacie. Jest to system chrześcijański, a zarazem narodowy, system **cywilizacji łacińsko - śródziemnomorskiej.** Drugi system — to system wschodni, system Asyrji i Babilonji, Egiptu, Indji i Mangołów. Te olbrzymie budowle wystawiane kolektywnym wysiłkiem, a obok tych budowli olbrzymie cmentarze niewolników, którzy je budowali. To system kolektywnej pracy na rzecz państwa. Obojętnie, kto to państwo reprezentuje, czy faraon czy chan czy szach, czy Centralny Komitet Wykonawczy. Czy to będą piramidy, czy budowle Tyru, czy Niniwy, czy stolice Dżingischana, czy Dnieprostroj czy Magnitogorsk... System pozostaje ten sam: system pracy przymusowej, której owoce giną w rękach jednowładców lub przemieniają się w chimeryczne kolosy, bezpłodne dla tych, których potem zostały zbudowane. System pracy, której płody nie wracają do pracującego, system hiperorganizacji, która obraca się w próżni, system głodu i bata, deptania po wolności i godności człowieka".

Szczególnie starannie i wszechstronnie jest omawiana sprawa narodowego ustroju rolnego, naprawy zwichniętej równowagi między wsią a miastem (supremacja żydowskiego handlu nad polskiem rolnictwem!) wyrażającej się w t. zw. „nożycach cen", oraz narodowego stosunku do reformy rolnej. Sprawy te, obchodzące 70% ludności całej Polski, jej warstw najliczniejszych i podstawowych, bo czerpiących swe siły z ziemi i z nią od wieków związanej, to sprawy najważniejsze w hierarchji zagadnień czekających na godziwe uregulowanie przez przyszły rząd narodowy.

Nie sposób na tem miejscu omówić wszystkich zagadnień poruszonych w tej przebogatej w treść książki, po przeczytaniu której mamy w umyśle konkretny, zdecydowany obraz podstaw gospodarczych, na których będzie się opierać Polska narodowa. Pierwszym i podstawowym warunkiem jej budowy jest przewrót — „przewrót w sercach i umysłach!"

„Z chwilą, gdy zrozumiemy, gdy nam się otworzą oczy — i gdy poczujemy w sobie odwagę — odpadnie jak zeschłe liście na jesieni to wszystko, co stoi na przeszkodzie do powstania i rozkwitu Godziwej Polski".

Książka napisana w całości żywo i ciekawie — miejscami wręcz doskonale...

Nietylko przeczytanie, ale głębsze zapoznanie się z jej treścią, jest pilnym obowiązkiem każdego narodowca.

M. K. D. (Kraków)

---

*) Adam Dobrzyński: „Gospodarka Narodowa", W-wa, 1934. Nakł. tow. wyd Patria, str. 311 + VIII.

DR. BOŻENA STELMACHOWSKA

Obrzędy Bożego Narodzenia na Pomorzu

Okres Bożego Narodzenia to punkt szczytowy w obrzędowości dorocznej — to etap największego nasilenia przejawów folklorystycznych na ziemiach polskich — to w całokształcie zwyczajów ludu naszego, najbardziej uroczysty, a zarazem radosny moment z całego roku, łączący w sobie pierwiastki religijne, poważne, sakralne z motywami wesela i wybuchami szczerej, niepohamowanej swobody. — Obok modlitewnej ciszy, jaka otacza misterjum Bożego Narodzenia, obok rzewnej adoracji przed Nowonarodzonym, obok pieśni rozmodlonych ku czci największej tajemnicy chrześcijańskiego obrzędu religijnego — mamy kolendy i pastorałki, wesołe, bujne, czasem śmiechem rozperlone, niekiedy sielankowe i swojskie.

Dwa te motywy przenikają całą obrzędowość Bożego Narodzenia na ziemiach Polski, są najlepszą wykładnią duszy ludu polskiego, który modli się w ekstazie, wybucha pieśnią radości, dając tem samem wyraz bujności swej natury niepozbawionej do dziś dnia sporej dozy prymitywizmu.

Chociaż na obszarze Polski obrzędy bożonarodzeniowe wyrażają się w formie zbliżonej do siebie, a więc mało zróżnicowanej, mimo to regjonalne odchylenia zaznaczają się wyraźnie o tyle, że można wydzielić kilka kompleksów odrębnych i w opisie obrzędowości Bożego Narodzenia potraktować je oddzielnie.

Takim wydzielonym z całości kompleksem jest Pomorze, przedstawiające coprawda daleko idącą niwelację obrzędową, niemniej jednak ciekawe w swoim szczątkowym zrębie etnograficznym.

W przeciwieństwie do innych dzielnic Polski, które przedstawiają dziś zwarte obrzędowo regjony — Pomorze wykazuje pewne zróżnicowanie wewnętrzne, tak że oddzielnie traktować musimy część północną, pozostającą pod wpływem morza jako czynnika niwelującego i zbliżającego kraje oraz narody, a osobno część południową kraju, rolniczą, z ludnością osiadłą, czyli bardziej konserwatywną i w poglądach swoich ustaloną.

Na północy Pomorza jako silną grupę regjonalną spotykamy Kaszuby, które znowu należałoby zróżnicować na regjon północny, nadmorski i wybitnie odrębny, oraz wycinek południowy Kaszub, rolniczy, z ludnością osiadłą. W innych częściach Pomorza, grupy, jak kujawska, wielkopolska i mazurska, wykazują natomiast wiele cech napływowych z sąsiadujących i odpowiadających im grup macierzystych kraju, jak Wielkopolski, Kujaw i Mazowsza, wzgl. Mazur pruskich.

Zaczynając charakterystykę obchodów Bożego Narodzenia od północnej grupy kaszubskiej, zauważymy niejakie odchylenie od ogólnej formy obrzędowej w stosunku do całości Pomorza i do całości Polski, biorąc normę przeciętną, czyli najogólniejszy zarys obrzędowy tego okresu.

Odchylenia te zaznaczają się już w czasie przygotowawczym i poprzedzającym Święta, czyli podczas adwentu. Spotykamy się tu z takiemi racjonalnie nie dającemi się wytłumaczyć przekonaniami, że nie należy np. w okresie adwentowym ziemi orać, gdyż „schorzeje“, nie powinno się też prząść wełny ani drzeć pierza. Łącznie ze światopoglądem miejscowej ludności nie spotykamy przed Bożem Narodzeniem zabaw wesołych na Pomorzu, a nawet źle są widziane „schadzki“ młodych. Zwyczajów analogicznych nie zauważamy naogół w innych regjonach Polski.

Pewną odrębność lokalną stanowią również pochody chłopców z szopkami na Pomorzu jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia i to w pewnych okolicach już z początkiem adwentu. Pojawiają się równocześnie maszkary, jak koń, koza, bocian, kominiarze i gwiazdory lub gwiazdki.

Niekiedy grupę maszkarową uzupełniają inne postacie, jak baba, „strach“ (dziad), kominiarz, żandarm (pruski), kozieł, niedźwiedź i bocian. Całą zgrają zarządza „gwiszcz“ towarzysz „gwiazdki“. Pewną odmianę stanowi obnoszenie „brumtopa“ na dwa tygodnie przed Bożem Narodzeniem. „Brumtop“, czyli „brumtopf“, brantop“, lub „bresztop“ — jest to instrument prymitywny, skonstruowany z beczki i obciągnięty skórą, jak u bębna. Przez otwór w skórza, na środku wycięty, przeciągają włosie, sterczące ku górze. Od czasu do czasu pociągają za skonstruowane tak struny, które wydają mruklıwy ton, do wtóru śpiewanym kolendom.

W samą Wigilję spotykamy się w północnej części Kaszub, a mianowicie w regjonie nadmorskim, z ciekawemi, gdzieindziej nieistniejącemi zwyczajami. Żona szypra, czyli naczelnika miejscowej maszoperji, spełnia ważną czynność obrzędową, a mianowicie dokonuje podziału zasolonych węgorzy między członków maszoperji. Rodziny rybackie spożywają węgorze na obiad, w dniu wigilijnym, pozostawiając sobie węgorza na wieczerzę. Tym sposobem dzielą między siebie część wspólnie odbywanych połowów, akcentując tę wspólnotę szczególniej w dniu Bożego Narodzenia.

Dzielenia się opłatkiem nie znają naogół. Choinkę natomiast znaleźć można w każdym nieomal domu. Drzewka stroją w świecidełka, zawieszają na niem figurki upieczone z ciasta, albo wyrzeźbione z brukwi. W wioskach nadmorskich bywa praktykowany zwyczaj zawieszania nad choinką „kura morskiego“. Wskazuje on rzekomo kierunek wiatru mimo zawieszenia w pokoju.

Po wieczerzy i obdarowaniu skromnemi podarkami rodziny i domowników udają się rybacy na spoczynek. W niektórych domach religijni Kaszubi zrywają się ze snu, o północy, budzą domowników i odmawiają wspólne modlitwy, czcząc w ten sposób moment Narodzenia Bożego.

W niektórych wioskach północnych Kaszub zachowują się do tej pory ciekawe obrzędy wigilijne. „Gbur“ o zmierzchu obchodzi dom i zabudowania gospodarcze, skrapiając wodą święconą rodzinę i czeladź, izby oraz inwentarz żywy i martwy. Domownicy klękają przed krucyfiksem, czy obrazem z wizerunkiem świętym, a najstarszy z rodziny odmawia głośno początek Ewangelji św. Jana i Anioł Pański.

Powszechna jest na Kaszubach północnych wiara w możność mówienia zwierząt ludzkim głosem. Nie należy jednak rozmów tych podsłuchiwać, gdyż grozi to bezwzględnie śmiercią, chyba, że podsłuchujący nie ma na sumieniu żadnej winy. W okolcach Wejherowa opowiadają o pewnym gospodarzu, który podsłuchał w noc wigilijną rozmowę wołów. Jeden z nich przemówił do drugiego: — „Ten nasz Tona, to je dobry knop, błe ten nas fejn futruje.“ — Drugi wół na to: — „Te Tona je wiedno posłeszne łejcu i matce, tak ze nigdy nie łebrazy Błega, a jeżeli ten wetrwo do dredźegłe lata w łasce, to młeże przyndz znowu z nami płerozmawiać.“

W ogólności dbają o zwierzęta w dniu Wigilji, a gospodarz daje, co ma najlepszego: siano, koniczynę, snopki owsiane, żytnie i jęczmienne z ziarnem niemłóconem.

W niektórych osadach nadmorskich jest zwyczaj dokonywania wróżb Bożego Narodzenia, a w Pucku wierzą, że jeżeli kogoś w dniu wigilijnym spotka niepowodzenie — będzie mu ono towarzyszyło przez cały rok.

Powstały też w północnej części Kaszub ślady zwyczaju owiązywania drzew, dla urodzaju, w noc wigilijną. Jest to przecież noc cudów pełna, skoro zwierzęta mówią, krasnoludki po świecie chodzą i jest możność zaklęcia urodzaju w polach, na łąkach i w sadach. Owiązują więc drzewo słomą, dzwonią lub stukają, a obchodząc sad, zaklinają: „Jandrne jabka, jandrne kreszcze na ten Nowy Rok!“

Wiara ludu w cudowne możności Nocy Wigilijnej przejawia się jeszcze i w tem, że, jak mówią, woda w studni może zamienić się w wino, co dokonuje się o północy, w momencie narodzin Zbawiciela.

W Kaszubach południowych spotykamy się z podobnemi jak na północy zwyczajami przedbożonarodzeniowemi, a mianowicie z pochodami gwiazdorów, których tu nazywają „gwiżdżami“ lub „gwiszczami“, z obnoszeniem szopek jasełkowych i całą maskaradę zwierzęcą, która głównego nasilenia nabiera w samą Wigilję, kolendując po domach gospodarzy. Częściej, niż na północy, spotykamy się z obrzędowemi cechami wieczerzy wigilijnej i ze zwyczajem dzielenia się opłatkiem.

W okolicach Kościerzyny wierzą w przybywanie duchów o północy. Pamiętają o nich pieczołowicie: nakrywają lekko stół, aby ich nie zgnieść, nie wylewają przed dom wody, aby ich nie polać, stąpają ostrożnie, cicho, z szacunkiem, gdyż wszędzie, na każdem miejscu, mogą być dusze przodków, które przybywają do swoich najbliższych w dzień Bożego Narodzenia. Człowiek dusz tych nie percypuje żadnym ze swoich zmysłów. Czasem tylko pies zawyje... długo... przeciągle..., bo pies ducha wyczuwa.

W grupie **wielkopolskiej** Pomorza, do której zalicza się powiaty, sępoleński, część tucholskiego i część chojnickiego lud przepędza analogicznie okres przedświąteczny oraz Wigilję, są jednakże pewne drobne odmiany. W okresie adwentowym obok zabaw maszkarowych i zwykłych przedświątecznych porządków odbywa się łamanie lnu, trzepanie i przędzenie. Na kilka dni przed Świętami przerywają pracę, ustawiają kołowrotki na przeznaczonych im miejscach i przygotowują się na święta, które spędzają ze szczególną powagą, wierząc, że w pierwsze zwłaszcza Święto, nie godzi się zabawić, ani domu opuszczać, dla udania się w gościnę.

W grupie **kujawskiej**, czyli w powiatach tczewskim, starogardzkim, gniewskim, świeckim, grudziądzkim, toruńskim, chełmińskim, wąbrzeskim i brodnickim mniej zwracają uwagi na okres przedświąteczny, skracając go do kilku dni zaledwie, w których przygotowują się w różnoraki sposób do dnia wigilijnego i samych Świąt.

Do wieczerzy wigilijnej przywiązują dość duże znaczenie, a dzielenie się opłatkiem bywa wszędzie znane. — Nawet zwierzęta otrzymują opłatek barwy czerwonej. W okolicach Grudziądza po wieczerzy wigilijnej wyrabiają t. zw. „nowe latko“, tj. wypiekają z ciasta drzewka, konie, krowy, kury, gęsi itd. Przedmioty te święci gospodyni i daje inwentarzowi, aby się dobrze chował.

Grupa **mazurska**, czyli Działdowskie i częściowo Lubawskie nie przynosi poważniejszych odmian obrzędowych. W powiecie działdowskim wieczerza wigilijna niewszędzie jest znana. Natomiast w pochodach maszkarowych, poprzedzających Święta, zjawia się św. Mikołaj.

W powiecie lubawskim, idąc na jutrznię, przed godz. 12-tą „budzą“ drzewa, tj. stukają 3 razy lub trzęsą drzewem, mówiąc: „Śpisz, nie słyszysz, a Syn Boski się narodził“. Wierzą w pomyślny skutek tego zaklęcia.

Wróżby w Noc wigilijną przeprowadzane, a do Andrzejowych podobne, znane są na całem Pomorzu.

Jeżeli z opisanemi obrzędami Bożego Narodzenia porównamy najbliższe Pomorzu regjony sąsiadujące — to zobaczymy, że analogje są bardzo bliskie, a niektóre obrzędy wręcz identyczne.

Odrębność leży przeważnie w grupowaniu czasowem pewnych obrzędów, jak np. pochody gwiazdorów i chłopców z szopką już w adwencie, na Pomorzu, dalej powszechne czyszczenie izb, czego w innych regjonach tak specjalnie się nie akcentuje, oraz pewne nie dające się racjonalnie uzasadnić przestrzeganie, aby w adwencie, a szczególniej na kilka dni przed Świętami, nie wykonywać pewnych prac specjalnych, jak uprawa roli, przędzenie lnu itp. (Dokończenie na str. 12-tej)

Spóźnione — lecz znamienne „odkrycia“

W dzisiejszej dobie absolutnego nieomal panowania oportunizmu, który stał się kierunkową życia jednostek i grup społecznych, wszelkie próby usiłowań, że tak powiemy, pod oficjalny prąd idące, zasługują na uwagę i podkreślenie.

Szczególnie zaś jest godnem uwagi to usiłowanie, które rodzi się z głębszych przeobrażeń i które rzuca na przeciwszalę wysokie napięcie ideowe i moralne.

Do takich między innemi sympatycznych prób zaliczyć należy książkę Jana Stachniuka, wydaną pod znamiennym tytułem:

„Heroiczna wspólnota narodu“.

Znamiennym dlatego, że sam autor wyszedł ze szkoły „ideowej“, dla której szczególnie w ostatnich kilku latach naród, jako fakt, jako żywa rzeczywistość nie istniał, szkoły, dla której słowo naród był wymysłem „endeckim“, zaliczonym dawno do rekwizytów przeszłości.

Grupa, w której Stachniuk początkowo tkwił, to „komunizująco - państwowy“, przeżarty djalektyką doktrynalną, i zazwyczaj górnolotnym frazesem, Związek Polskiej Młodzieży Demokratycznej.

Fakt ten nie jest obojętny dla twórczości autora, na której, mimo wszelkich przemian, odbija się wyraźnie. Widoczne to jest przedewszystkiem w tym znanem pozerstwie oraz pretensjonalności odkrywczej tych prawd, które dziś nie są tajemnicą nietylko dla mędrców, ale co najważniejsze są oddawna powszechną własnością szerokich mas ludu i narodu polskiego.

Pomimo tego i szeregu jeszcze innych refleksów „syndykalistycznej przeszłości“ autora, o czem jeszcze niejednokrotnie trzeba będzie wspominać, p. Stachniuk oddawna już faktycznie znalazł się po za wspomnianą grupką. Przypomnieć wypada, że gdy napisał swoją pierwszą książkę pt. „Kolektywizm a naród“, to wówczas jeszsze organizacja macierzysta tj. Z. P. M. D. łaskawie firmowała to wydawnictwo, jakkolwiek bez większego entuzjazmu.

Dlaczego?

A no rzecz prosta, dlatego, że już wówczas autor jeszcze jak przez mgłę, ale widział coraz wyraźniej zarysowującą się prawdę rzeczywistości narodu.

Wprawdzie była to jeszcze bardzo nieśmiała próba poznawcza, bo pozostająca ciągle w oparach międzynarodowych fikcyj, ale w konsekwencji dała przynajmniej to, że autor „pogodził się“ z faktem, że naród to rzeczywistość, z którą trzeba się liczyć.

W związku z tem właśnie, porównując te dwie książki, dsokonale się widzi olbrzymi postęp, wprost rewolucyjny myśli p. Stachniuka, ktory w pierwszej swej broszurze mówi o narodzie, jako „malum necessarium“, w drugiej zaś widzi „głębokie przeobrażenia duchowe ludzkości, których wypadkowa wyraża się w spotęgowaniu ruchów narodowych, stających się osią wszystkich zagadnień społecznych naszego wieku“.

Podobnie rzecz się ma z kultem dla klasy proletarjackiej, w której autor poprzednio widział jedyne możliwości „przyszłościowe“.

Obecnie na przestrzeni niecałych 2 lat zmienia zdanie, twierdząc o klasie proletarjackiej, że „twór ten jednak okazał się wysoce efemeryczny, i dziś możemy już przyjąć jako zasadę, że podstawą ruchów społecznych naszej doby stał się naród“.

Oczywiście zaznaczamy tu, że konstatując tę ewolucję myśli autora nie czynimy mu z tego powodu zarzutów, tembardziej, że poszła ona drogą po której nie od roku 1935 kroczymy. Uważając ruch narodowy za reakcję przeciwko indywidualizmowi i liberalizmowi XIX wieku zapytuje autor: „Cóż się stanie jednak z jednostką w tem nowem ukształtowaniu społeczeństwa? Świadomość jednostki musi ulec i jak to widzimy ulega daleko idącej przemianie w tym sensie, iż jednostka przestaje odczuwać jako mikrokosmos, przeciwstawiany reszcie bytu, lecz narzędziem jej odczuwania staje się grupa lub inaczej — jednostka kształtuje swój stosunek do bytu po przez pryzmat życia grupy.

Jest to przemiana olbrzymia — twierdzi dolej autor.

Znika przeciwstawność interesów jednostek. Sfera uczuć, wyrastająca na tem podłożu jest tem, co możemy określić heroizmem. Stwarza się system wartościowania, w którym interes jednostki, a nawet to, co było uważane w epoce indywidualizmem za wartość najwyższą — życie — zepchnięte zostało z piedestału na plan drugi.

Stopień spontanicznego przyjęcia takiego systemu wartościowania świadczy o natężeniu heroizmu, upowszechnienie tego systemu w całem społeczeństwie daje obraz heroicznego typu zbiorowości“.

Cytując powyższe stwierdzenia czynimy to dlatego, by wykazać, jak pózno autor przyszedł do poznania tych prawd oczywistych konsekwentnej postawy narodowej.

Z tego też względu książkę Stachniuka w dużej mierze należy traktować, jako osobiste dojrzewanie, jakby dociąganie się zapóźnionego biegacza do dawno ustalonych rekordów w dziedzinie myśli narodowej.

Bo rozważmy np. takie zagadnienie, precyzowane przez autora, jak hieroizm narodowy.

Czyż wnosi ono coś nowego? Pozornie ze względu na użytą nomenklaturę — tak. W istocie zaś postulat bohaterstwa grupy narodowej tkw u podstaw jej bytu.

Nie sposób bowiem wyobrazić sobie, by integralny nacjonalizm szczególnie w Polsce mógł być realizowany bez olbrzymiego i trwałego entuzjazmu, ofiar i poświęceń uspołecznionych jednostek w narodzie oraz narodu, jako organicznej całości.

Konsekwentna postawa narodowa, podkreślamy szczególnie w naszych warunkach, we wszystkich dziedzinach życia determinuje postawę heroiczną. Bez niej nie będzie zwycięstwa narodowej idei.

W związku nierozłącznym z bohaterską postawą pozostaje wiara w naród.

Z niej właśnie wypływa heroizm.

Tę wiarę w naród, wiarę żarliwą autor, powiemy paradoksalnie, ma i nie ma.

Potęguje ją znakomicie fakt znany powszechnie, to jest neofityzm, którego skrajne predyspozycje doprowadzają niekiedy do utraty poczucia rzeczywistości, a w dalszej konsekwencji i do sprzeczności.

I właśnie wtedy odczuwa się brak tej wiary. Szczególnie uwidacznia się on w chwili, gdy autor od ogólnych stwierdzeń przechodzi do pozytywnych wizyj programowych w dziedzinie ustroju społecznego i gospodarczego. Tam mu zabraknie własnej narodowej polskiej koncepcji, skutkiem czego czerpie je pełną garścią z eksperymentów bądź to wschodniego, bądź też zachodniego naszego sąsiada. Stąd wiara w naród, w jego indywidualne potrzeby i możliwości, ta wiara, że tak powiemy, zupełna ustaje.

Na jej miejsce wchodzi obczyzna, będąca negacją tego, do czego autor po tak żmudnych perypetjach doszedł, a mianowicie, że każdy naród, to odrębny, zamknięty w sobie, lecz wszechstronny styl.

Podając powyższe raczej ogólne zagadnienia rozważaniom z konieczności zresztą, chętnie następnym razem omówimy te antynomiczne z punktu widzenia integralnego nacjonalizmu tendencje w programowych założeniach społecznych i gospodarczych autora.

Jan Rus.

DR. STANISŁAW CELICHOWSKI

WYPRAWA ZBĄSZYŃSKA

Wspomnienia uczestnika

Z okazji, przypadającego w tym roku 16-lecia zwycięskiego powstania wielkopolskiego, podajemy tu pamiętnikarskie szkice jednego z najwybitniejszych uczestników powstania, o skromności prawdziwie żołnierskiej, dr. Stanisława Celichowskiego. Sądzimy, że szkice te, które ukażą się nakładem „Głosu" w osobnej broszurze, zainteresują nietylko tysiączne rzesze bohaterskich powstańców wielkopolskich. **Red.**

Grudniowe powstanie wielkopolskie zaczyna powoli zasnuwać mgła niepamięci, wypadki przestają być przeżyciami jednostek, a stają się historją, i jak każdą historję, zaczyna je przesłaniać legenda. Badania historyczne, podjęte od lat nad powstaniem wielkopolskiem, ustalały fakty, daty i ludzi, zajmują się utrwalcniem obrazu objektywnego; lecz ginie powoli to, co było dla uczestników najpiękniejszem, własne przeżycie najcudowniejszych chwil w życiu, chwil, w których marzenia i sny o szpadzie i potędze stawały się rzeczywistością.

Utrwaleniem tych subjektywnych wrażeń, nie ściśle objektywnem przedstawieniem wypadków, zajmują się niniejsze wspomnienia z wyprawy Zbąszyńskiej od 6 do 18 stycznia 1919 roku.

DOWÓDCY I ODDZIAŁY.

Wyprawa Zbąszyńska przedstawia mi się jak jakaś romantyczna epopeja, o barwnej akcji i dramatycznym jej przebiegu. Złożyło się na to kilka okoliczności. W pierwszej linji zespół ludzi, którzy w niej brali udział, ciekawy teren, na którym się ona rozwijała i wreszcie świadomość pierwszego wkroczenia we własną narodową wojnę.

Ciekawe to było towarzystwo, które 6 stycznia 1919 r. zebrało się w Kościanie w transporcie kolejowym, odchodzącym na front pod Zbąszyń, tym razem front p o l s k i. Baon śremski z kompanjami kórnicką i śremską oraz kompanja jarocińska zjednoczyły się w tym pociągu w pierwszą większą jednostkę bojową pod wspólnem dowództwem.

Najcharakterystyczniejszą postacią był w tem wesołem, w podnieconym, uroczystym nastroju jadącem wojsku niewątpliwie ppor. hr. Ostroróg-Gorzeński z Tarzec.

„Ciekawie było patrzeć — pisze anonimowy autor „Historji baonu Śremskiego" — na tę charakterystyczną postać komendanta bataljonu jarocińskiego. Zamaszysta, staropolska postać, jeszcze w pruskim na prędce na polskie — wedle własnego pomysłu — przerobionym mundurze, z dużą karabelą i pagonami biało-czerwonemi z orzełkiem, wygląda jak typowy „druh komendant", jak go powszechnie nazywano". Patrząc na tego otyłego, wiekiem już steranego oficera w barwnym, fantazyjnym stroju, więcej jeszcze przyglądając się jego postępowaniu, miało się wrażenie, że to ostatni szlachcic — towarzysz pancerny, cudem jakimś z wyprawy wiedeńskiej przeniesiony w dzisiejsze czasy.

Wrażenie to nie było przypadkowe, gdyż komendant Gorzeński z całą świadomością pielęgnował tradycje rycerstwa polskiego. O nieskazitelnym charakterze i niepospolitej odwadze uważał za swój obowiązek nieść swe życie w ofierze „za wiarę i Ojczyznę". Jak dawni rycerze polscy podczas ewangelji wyciągał do połowy z pochwy szablę — a my wszyscy za nim — na znak, że każdej chwili do obrony wiary i ojczyzny jest gotów. Ta jego staroświeckość polska, przy pogodnym przytem humorze, zrobiła go ulubieńcem nie tylko własnego baonu, lecz wszystkich nas pod Zbąszyniem zgromadzonych. Nic go lepiej nie charakteryzuje, jak zachowanie się jego w przeddzień bitwy pod Zbąszyniem, gdy Naczelne Dowództwo w zrozumieniu jego zalet mianowało go dowódcą wojskowego okręgu południowego w Jarocinie, z wezwaniem do objęcia natychmiastowego swych nowych obowiązków. Nie mógł się pogodzić z tą myślą, że jego ukochana kompanja pójdzie do tej pierwszej wielkiej, a tak krwawej rozprawy bez niego. To też został do dnia następnego i chociaż wiek i astma nie pozwoliły mu biec do szturmu, to za obowiązek swój poczytał, kompanję wyprowadzić przynajmniej z okopów w grad kul i granatów.

W porównaniu z komendantem Jarocińskim, komendant baonu Śremskiego, por. Stefan Chosłowski z Ostrowieczka był typem nawskroś nowoczesnym. Także ziemianin, z najlepszemi tradycjami narodowemi ziemiaństwa wielkopolskiego, był dzieckiem wielkiej wojny, starając się w miarę możności zastosować jej taktyczne i techniczne zdobycze. Stąd jego zamiłowanie do wszelkiego rodzaju broni specjalnych, w szczególności zaś do stworzenia oddziału łączności. Charakteryzuje tego organizatora baonu śremskiego systematyczna celowość jego zarządzeń i konsekwentność w ich przeprowadzaniu. Podziwiałem zawsze, z jaką bezwzględnością podporządkowywał wszystko celom wojennej wyprawy bez oglądania się na to, czy w danym momencie jego zarządzenia mają formalną podstawę prawną, czy to będzie zmuszenie kierownika lokomotywy do jazdy, czy zarekwirowaniem lokomotywy od pociągu osobowego mimo protestu pasażerów dla transportu wojskowego w drodze do Miejskiej Górki, czy zarekwirowaniem koni dla baonu, czy wreszcie odplombowanie gorzelni w Łomnicy dla uzyskania wódki celem pokrzepienia wojska lub ewakuowania cukru z cukrowni w Miejskiej Górce, zawsze szybkie i celowe swe decyzje przeprowadzał stanowczo z pełnem poczuciem odpowiedzialności. To też żołnierz odnosił się z pełnem zaufaniem do niego, do czego dopomagał mu jego wrodzony talent zyskiwania sobie sympatji w osobistem zetknięciu się zarówno z oficerami jak i żołnierzami.

Do pomocy miał przytem w osobie Czesława Domagalskiego doskonałego adjutanta, biurokratę w najlepszem tego słowa znaczeniu, który nietylko z drobiazgową sumiennością dopilnowywał wykonania zarządzeń swego dowódcy, lecz nieraz i hamował zbyt szeroki rozmach, gdy uważał, że mógłby być szkodliwy.

Ziemianinem był także Wiktor Unrug z Mełpina, dowódca konnicy naszej. Chociaż nigdy nie był żołnierzem, z chwilą wybuchu powstania zgłosił się do szeregu i z synów okolicznych ziemian i ich służby folwarcznej stworzył oddział konnicy, który wszedł później w skład 1 pułku ułanów. Braki wykształcenia wojskowego zastąpił u niego gorący patrjotyczny poryw i rasowa zdolność szlachecka do konnicy.

Czwartym wreszcie ziemianinem z wyższych szarż był Daniel Kęszycki z Błociszewa. Z urodzenia i temperamentu szlachcic polski, z wychowania zaś anglik - sportsmen, b. podoficer od kulomiotów wraz ze swoim fuszpanem i 2 fornalami dowodził osobiście kulomiotem sztabowym baonu. Takim jak on musieli być oficerowie armji angielskiej w roku 1914, gdy u granic Belgji ciałami swemi tarasowali napór przeważających sił niemieckich ku morzu. Dbałość o honor gentelmana był najwyższym drogowskazem w jego poczynaniach. Gdy podczas szturmu na Strzyżewo wyrażałem mu najwyższe moje uznanie za odwagę i pogardę śmierci, z jaką wraz ze swoimi ludźmi wycofał pod gradem kul swój kulomiot z zagrożonej pozycji, odrzekł mi z cechującą go skromnością i szczerością: „możebym i sam stchórzył i kulomiot zostawił, ale mi wstyd było moich fornali". Kochał swój kulomiot, z którego zresztą sam strzelał świetnie, mając z wychowania spokój i zimną krew Anglika.

Gdy pod koniec wyprawy zbąszyńskiej wisiała nad nami groźba nowego ataku niemieckiego, przy łóżku, w pokoju, który z nim razem dzieliłem, ustawiał na noc kulomiot, zdecydowany bronić się do ostateczności.

Odrębnym zupełnie typem był Klemczak, dowódca kompanji opalenickiej, która w nocy z 10 na 11 stycznia przybyła pod Zbąszyń, by wziąć udział w generalnym szturmie na Zbąszyń. Żołnierz o nieustraszonej odwadze był typem partyzanta. Podziwiałem zawsze z jaką szybkością kompanję swą rozbitą z powrotem zbierał i organizował. Gdy po nieudałym szturmie na Strzyżewo z kompanji jego zdawało się, tylko strzępy pozostały, zadziwił nas, gdy w parę godzin później już znowu stał na jej czele i z muzyką i fantazją wprowadzał z powrotem do Łomnicy, tak że mieszkańcy wsi myśleli, że to zwycięskie wracają wojska. Był też każdej chwili gotów do wzięcia udziału w walce, bez względu na to, czy rozkaz wychodził od przełożonych czy też wezwanie od równorzędnych mu dowódców.



Dowódca kompanji Kórnickiej dr. Stanisław Celichowski z najmłodszym jej żołnierzem pod Miejską Górką.

Oryginalnemi jak ich dowódcy były także poszczególne jednostki bojowe.

Nie były to bowiem jednolicie uformowane oddziały wojskowe, lecz każdy z nich miał swoją indywidualną historję powstania i psychikę. Każdy był inny; wspólnem ich było tylko ich osobiste zespolenie z dowódcami, nie z przydziału i rozkazu, lecz dowódcami, których na te stanowiska wynosiła ich rola kierownicza w danej okolicy, skąd pochodziły, w życiu społecznem i narodowem. Według terminologji hitlerowskiej byli to „Führerzy", którzy w chwili akcji zbrojnej stanęli do walki na czele swojej organizacji bojowej danej okolicy.

Wspomniałem już o naszej „kawalerji". Tak wyglądać musiały oddziały partyzantów w 63 roku i z podobnych elementów się składać. Synowie ziemiańscy wraz ze służbą folwarczną częściowo wojskowo nie wyszkoleni, przeważnie bez mundurów, tworzyli jednostkę wojskową, od której byłby się odżegnał każdy zawodowy oficer kawalerji. Łączył tych ludzi tylko gorący patrjotyzm, gotowość do poświęceń i zamiłowanie do konia. To też oddział ten spełnił chlubnie swoje zadanie. Rekonesanse ich w nieznane bory i okolice, zamieszkałe wrogą ludnością, dawały bataljonom w Łomnicy pewne uspokojenie co do położenia. Rekonesanse te pełne niebezpieczeństw znajdą może kiedyś swego epika, nas pozostałych w kwaterach napawały zaś zawsze troską o ich los. Bujne i pełne fantazji zaś było życie wewnątrz tego oddziału, którego dowódca razem z końmi kwaterował w owczarni dominjalnej. Sławne były w oddziale obiady, na które się często składała gotowana czekolada, z domu przywieziona i skopowina z własnych funduszy na miejscu zakupywana. To też przy zdrowym apetycie żołnierskim wielkie w owczarni poczynili wyrwy.

Kompanja jarocińska żyła swojem odrębnem życiem w Nowym Dworze pod samym Zbąszyniem, gdzie ze względu na stały ogień kulomiotów i miotaczy min razem z uwielbianym dowódcą zainstalowała się w sklepach, czujna jednakże na każde poruszenie nieprzyjaciela, którego wypady likwidowała nieraz śmiałemi atakami na bagnety. Zorganizowana w chwili wybuchu rewolucji niemieckiej jako „Wach- und Sicherheitskompagnie" z biegiem czasu do chwili wybuchu powstania przetworzyła się już w karny i dobrany oddział wojskowy, silnie scementowany osobą dowódcy.

Taką samą, choć później utworzoną „kompanją bezpieczeństwa" była kompanja śremska. Nie była jednak tak zespolona i dobrana z punktu widzenia narodowego, jak poprzednia, gdyż powstała pod egidą częściowo niemieckiej „Rady Robotników i Żołnierzy w Śremie", to też mimo dobrego dowódcy por. Musielewskiego, artylerzysty, wsławionego później — 10. 2. 1919 r. — bitwą pod Zieloną Wsią, przedstawiała niewielką siłę bojową i nieraz zawodziła.

Zupełnie oryginalną formacją była kompanja kórnicka. Chociaż wtłoczona w formy organizacyjne kompanji wojskowej, w swych pierwszych początkach nie była podobna do zwykłej kompanji. Jeżelibym ją do czegoś chciał porównać, to powstaniem i zespołem ludzi przypominała nieco klan szkocki. Składała się wprawdzie z 3 plutonów, lecz plutony te były znów swego rodzaju małe „klaniki".

Charakteryzowało kompanję ścisłe związanie z okolicą, z której pochodziła, z jej tradycjami i historją. Miała więc charakter patrjarchalno - terytorjalny. Obok gorącego patrjotyzmu ogólnonarodowego cechował ją patrjotyzm lokalny, kórnicki, dbałość o honor swych miasteczek i wsi. Walczyła nietylko o wolność i świetność Polski lecz także i o to, by do wawrzynu zasług patrjotycznych Kórnika, wsławionego już atakiem na most chwaliszewski w roku 1846, nowy dołączyć listek. Była przecież wojskiem Rzeczypospolitej Kórnickiej, utworzonej 11 listopada 1918 roku, w której skład wchodziły 2 sowiety Kórnicki i Bniński, a miała już za sobą chwałę walk o oswobodzenie Poznania 27-go grudnia 1918 r. Odznaczała się zaś doborem ludzi, zarówno pod względem narodowym jak i wojskowym. Wstęp do niej miał tylko żołnierz - Polak, który conajmniej służył 6 miesięcy w wojsku pruskiem. Psychika jej ludzi stała pod wpływem narodowego wyszkolenia przedwojennego, tradycji patrjotycznych dziedziców Kórnika, Działyńskich i Zamoyskich, oraz ich pełnomocnika Dr. Zygmunta Celichowskiego. Współpraca lokalna na niwie narodowej i społecznej wiązała ich ściśle z ich dowódcą pod Kórnikiem rodzonym.

Tak zaś jak kompanja miała swój ogólny honor kórnicki, tak znowu poszczególne plutony miały swój dalszy honor lokalny. I tak pluton I. rekrutował się prawie wyłącznie z miasta Kórnika i jako pochodzący z „metropolji" uważał się za rodzaj gwardji, do czego dochodziło, że składał się przeważnie z synów mieszczańskich, wśród których znowu ośrodek stanowili harcerze. Dowodził nim stary żołnierz pruski ppor. Olsztyński, równocześnie zastępca dowódcy kompanji. 2-gi pluton miał swój ośrodek w Robakowie i Gądkach i składał się prawie wyłącznie z synów włościańskich i robotników rolnych i stał pod dowództwem urzędnika gospodarczgeo Walkowiaka, syna włościanina z Robakowa. 3-ci pluton wreszcie rekrutował się z Bnina i okolicznych wiosek i miał charakter mieszany małomieszczańsko - wiejski. Dowodził nim Zięta, syn robotnika o gorącym patrjotyźmie, wielkiej odwadze i szlachetnej ambicji. Wszystkie 3 plutony zazdrośnie czuwały nad tem, by żaden nie wywyższył się nad drugiego, by miały równe uzbrojenia i w walce szlachetną rywalizacją starały się każdy dla siebie przyczynić jak najwięcej chwały dla kompanji. Ta rywalizacja zresztą, jak świetne wydawała rezultaty w walce, nastręczała nieraz wiele trudności dowódcy, który nieraz zbytnią jej wybujałość musiał ukracać.

Tworzyła pozatem kompanja jedną wielką rodzinę, której głową, nie tyle dowódcą, był jej komendant oraz sierżant sztabowy Stanisław Pohl. Dawało to kompanji zupełnie inną wartość, jak zwykłe formacje wojskowe. Lecz mieściło to w sobie wielkie niebezpieczeństwa. Gdy po zwycięskiej potyczce pod Łomnicą kompanja straciła 10 zabitych, 8 rannych, tj. ¼ swego stanu bojowego, żołnierz, który stracił tyle znajomych i przyjaciół, psychicznie się załamał, chociaż tylko na chwilę. Uratował zdolność bojową kompanji jej honor kórnicki. Gdy bowiem dowódca, widząc załamanie się kompanji, oświadczył jej, że zwalnia ich z zobowiązania — byli to przecież ochotnicy — i pozwala im wrócić do domu, on sam jednak zostaje, gdyż uważa za swój obowiązek wytrwanie na stanowisku, że powinni jednak zdawać sobie sprawę z tego jak zostaną przyjęci w domu, gdy wrócą bez dowódcy, przygnębienie minęło i kompanja stała się znowu tem czem była, świetną jednostką bojową.

Jak indywidualnem było oblicze kompanji, tak znajdowało się w niej dużo ciekawych jednostek indywidualnych od eleganckich synów mieszczańskich, poprzez solidnych synów włościańskich do prostych, lecz w uczuciach swych potrjotycznych i cichem bohaterstwie tamtym równych robotników. Dzieje kompanji i jej ludzi zasługują na specjalne studjum wojskowo - psychologiczne.

Kompanji opalenickiej, która dopiero pod koniec przybyła pod Zbąszyń i po szturmie na Zbąszyń zluzowała kompanję jarocińską w Nowym Dworze, nie miałem możności bliżej się przyjrzeć. Imponowała nam, którzyśmy pod Zbąszyń przyszli niedostatecznie wyekwipowani, tak jak każdy z domu na skutek alarmu wyszedł, doborowym swym rynsztunkiem i ekwipunkiem. Miała przecież i własnego kapelana i własną muzykę, a specjalną już zazdrość wzbudzały wielkie jej zapasy amunicji. Nie weszła ona jednak w tę wielką rodzinę, która się koncentrowała w Łomnicy i nie został zadzierżgnięty ten osobisty stosunek towarzyszy broni, który związał pozostałe wymienione oddziały. Monografię kompanji opalenickiej opracował zresztą jej dowódca Klemczak.

Jeżeli wyprawa zbąszyńska od 6—18 stycznia 1919 r. pozostawiła w pamięci jej uczestników wspomnienia zamkniętej w sobie epopeji, jeżeli nastąpiło tam takie ciekawe zbliżenie osób i oddziałów, to złożył się na to szereg specyficznych okoliczności. Wyprawa zbąszyńska miała swój ściśle określony cel, zdobycie Zbąszynia i przełamanie frontu niemieckiego na linji jezior i rzek od Wolsztyna do Trzciela. Przez cały ten czas cel ten był codzienną myślą zgromadzonych oddziałów. Dramatycznym ośrodkiem był szturm na Zbąszyń w dniu 11 stycznia. To co się działo przedtem było jego przygotowaniem, to co później nastąpiło, dochodzeniem do przekonania o niemożliwości osiągnięcia tego celu i krwawem odkupieniem błędów popełnionych przy ataku na Zbąszyń.

(Ciąg dalszy nastąpi).

STANISŁAW PIGOŃ

Kilka listów Cyprjana Norwida

W przygodnych poszukiwaniach archiwalnych nawinęło się pod rękę trochę listów C. Norwida, pisanych różnemi czasy i do różnych osób, nie powiązanych z sobą, stanowiących zatem jakby luźne strzępy, świadczące fragmentarycznie o myślach i poczynaniach niektórych poety na emigracji.

Zainteresowanie Norwidem wśród młodego pokolenia nie słabnie, owszem wzrasta, uwydatnia się potrzeba zarówno obcowania ze słowem poetyckiem, jak i wiadomości o osobie twórcy. Jednakowoż jeżeli nawet wzrasta krąg miłośników poety, do wydawców nadal, jak i za życia, nie ma on szczęścia. Ten, coby mógł, jakoś nie chce; ten co się odważył, niezbyt znów potrafił.

Tak czy owak poezje Norwida (choć mocno niestarannie) zostały przecież zgromadzone pod jedną okładką. Natomiast na pełny zbiór utworów prozaicznych, a cóż dopiero na wydanie listów poety, poczekamy bodajże jeszcze czas niemały. Ogłaszane przygodnie i cząstkowo, skazane są w dalszym ciągu na to, że wyszedłszy z cieniów archiwalnych, przemykać będą krótkotrwale przez efemerydy czasopism, by podpadłszy w najlepszym razie uwadze bibljografa, zatracać się znowu w ciżbę półek bibljotecznych. Bądź co bądź jednak zatrzyma się przy nich na chwilę jakiś badacz czy poprostu miłośnik poety, a w ostateczności zostanie po nich ślad, po którym dotrze do nich łacniej przyszły, oby najrychlej, wydawca pełnego zbioru korespondencji.

Podanych poniżej kilka listów nie łączy wspólnota ani czasu ani adresata; są to — jak się rzekło — luźne przypadkowo zgromadzone kartki. Wiąże je conajwyżej jedna cecha: wszystkie w mniejszym lub większym stopniu dotyczą sprawy publicznej i wypadków historycznych.

1\. Do księcia Adama Czartoryskiego.
(1852)

Mości Książę!

Lat temu dwa miałem honor wstawić się za młodym znajomym moim architektem, prostym żołnierzem z Legjonu - demokratycznego z Włoch, który wracał na on czas do Warszawy, gdzie dziś jest i pracuje. Podobało się J. O. X. nie odmówić pomocy w przedsięwzięciu do tyla ostatecznem. Przypominam sobie, że udałem się z tą prośbą po wyczerpnięciu pierwej wszystkiego, co w osobistej mocy mojej było.

Dziś w podobnem położeniu stawia mnie już oficer wyższy nie onego Legjonu, ale z tegoż samego wojska.

Przedsięwzięcie p. Czajkowskiego jest również ostateczne, to jest, iż w temże wojsku na **prostego żołnierza** wstąpić pragnie. Przedsięwzięcie to ze wszech miar słuszne, jeżeli nie więcej, niżli słuszne, objaśnienia nie potrzebuje, potrzebuje pomocy raczej.

Obiecałem p. Czajkowskiemu pisać do J. O. X-a i dlatego czynię to, jak — przypominając sobie, iż w podobnem położeniu prośba moja skutek odebrała — **postanowiłem to uczynić.**

Jeżeli to interesowanie się człowiekiem 1-o nieszczęśliwym, 2-o zakwestjonowanego stanowiska moralnego, może być niekorzystnem dla interesującego się, to znowu położenie moje takie jest, że w inny sposób mało dobrego uczynić mogąc, nie chcę sobie tej drobnej odmawiać przyjemności.

W każdym razie, jeżeli to wchodzi w obręb przyjętych konsekwencyj, proszę o odpowiedź.

1852 lata.

Avenue Montaigne 14 C. K. Norwid.

Nota wydawcy: List zachował się w autografie w Muzeum XX. Czartoryskich w Krakowie, rkp. nr. 5655. Trudno określić, o którym Czajkowskim tu mowa; Krosnowski (Almanach, 66) wymienia na emigracji trzech oficerów tego nazwiska. Z nich Stanisław, b. wychowanek uniw. warsz., podporucznik czwartaków, mieszkał w Paryżu. Dodajmy, że Norwid wstawia się za nim sam będąc w ostatecznej potrzebie, która go niebawem popchnie na rozpaczliwą emigrację do Ameryki.

2\. Do jen. Henryka Dembińskiego.
(około 14 marca 1863 r.)

Ponieważ miałem zaszczyt podzielać zdanie Szanownego p. Generała, dotyczące bieżącej korespondencji z Pressą, niechże Generał pozwoli mi jeszcze, ażebym był w tej mierze konsekwentnym.

Pan Mickiewicz zapomina, albo nie wie, iż **roztropność** nietylko nie jest fałszywością, ale owszem: **roztropna tylko szczerość może być prawdziwą.** Nieroztropna szczerość jest najsubtelniejszą zdradą!...

Nikt z nas nie myśli oszukać Austrji, ale my nie jesteśmy **publicyści - ateusze,** którym się zdaje, iż wszystkie powagi państw i czasów od naszego kieszonkowego zegarka zależą. My widzimy, iż Austrja dopełnia **humanitarnych** względem nieszczęśliwej Ojczyzny naszej obowiązków, i sprawiedliwość tę jej oddajemy. Pod żadnym warunkiem nie wolno nam zapomnieć, iż bywają zbawieni nawet ci to, że szklankę wody podali pragnącym w Imię Boże: a czy im to według czystości ich rąk podających tę szklankę wody będzie policzone? — to właśnie że nie nasza rzecz o tem wyrokować, lecz rzecz **czasu.** Z tej to przyczyny, Generale, publicyści dzisiejsi całą historję świata według kieszonkowych swoich zegarków regulując, zarówno nie wiedzą, co jest **szczerość,** jak i to, co jest **zdradą,** dopiero po upływie czasu i współudziale swoim własnym odgadują.

Miło mi raz jeszcze uznać **prawdziwie Rycerskie** pojęcie tych rzeczy w poważnych Generała słowach, co zarazem i dlatego kreślę, ażeby Generał wedle upodobania i sądu Swego użytek z tego zrobił.

Z głębokiem poważaniem

1863 Cyprjan Norwid.

Faubourg Poissoniere, 131

Nota wydawcy: Autograf również w rkp. XX. Czartoryskich nr. 5593, str. 328. List jest echem wypadków z początku marca 1863 r. Emigracja paryska nie była jednolita w poglądzie na pożądanych sojuszników powstania: lewica pragnęła oprzeć się o buntujące się przeciwko despotycznym rządom żywioły ludowe i szukała kontaktu z rewolucyjnymi patrjotami Włoch i Węgier; obóz ks. Czartoryskiego pragnął się odżegnać od takiej pomocy, a szukał jej w oparciu o Austrję, nadającą natenczas życzliwość sprawie polskiej. Wł. Mickiewicz, podówczas reprezentant Tymcz. Rządu Narodowego, ogłosił był w dzienniku „La Presse" artykuł, gdzie solidaryzując się z manifestem Kossutha, uderzył ostro na Austrję. W odpowiedzi na to gen. H. Dembiński ogłosił w tejże „La Presse" (z dn. 13. III.) protest, w którym m. in. wyraził się: „za wroga Polski uważam każdego, choćby się nazywał Wł. Mickiewicz, ktoby usiłował w najmniejszej mierze niepokoić Austrję w kwestji stanowiska Polski" (zob. Wł. Mickiewicz: **„Pamiętniki",** II. 396). Do antyrosyjskiej interwencji w sprawie polskiej naklaniał Austrję papież Pius IX. Norwid, zbliżony sympatjami do Hotelu Lambert i wiernie oddany Stolicy apostolskiej, nic dziwnego, że solidaryzował się z wystąpieniem Dembińskiego i pospieszył (zapewne zaraz 13 lub 14 marca) z wyrażeniem mu tego.

3\. Do Wincentego Mazurkiewicza.
(Dn. 25—27 lipca 1865).

Łaskawy i Wielmożny Panie Dobrodzieju!

Dowiaduję się w tej chwili, że Książę Jegomość pisał do Pana Dobrodzieja, oświadczając Mu, że jest wielce chory, ale że będzie Mu bardzo przyjemnie przyjąć Go, Boulevard Dineau en dehors de la porte Neuilly nr. 18, z warunkiem, iż to zostanie tajemnicą. Owszem, życzy on sobie, abym, gdyby list Jego zapodział się gdzie, doniósł toż samo W. Panu Dobrodziejowi, co też czynię.

We wszystkiem używam form średniowiecznych polskich z przyczyny, iż Polska, przez kilkadziesiąt lat demokratyzując, nie postarała się sama z siebie swojskich wyrobić kształtów słowa i obyczaju, odpowiednich warunkom współczesnym.

Co najwyżej, jeżeli parę naczelnych słów, niewolniczo umarłe i ślepo z francuskiego przetłumaczonych, przykleiła czasowym opłatkiem i śliną na wierzchu, ale ani jednego wnętrznego zwrotu określeń i toku właściwego republikańskiej jakości nie wyrobiła i nie uzasadniła. Opieszała we wszystkiem, zdradza tylko uroszczenia republikańskie, ale potwierdzić owych nawet filologicznem przeprowadzeniem i wydążeniem wiekowi nie postarała się.

Przebaczyć to Moskalom bardzo łacno z powodu, iż oni wszystko od obcych ludów biorą; mniej łacno nam, których język oceniony jest na ruble jak głowa zbójcy, a który wszelako tak tępo rozwija się i szerzy, tak dalece, iż doprawdy że jedynie średniowiecznym swobodnie określać myśl podobna. Zaś współczesnego wcale niema. La langue moderne en Pologne est inconnue!...

Przypomina mi to te landary, które u szlachty polskiej w spichrzach i zaniechanych stoją wozowniach, a któremi lat temu sporo raz na wesele jeździł któryś cześnik lub stolnik, i od tego czasu pozostają w ukryciu ze sprzętami mało używanemi. Tem więcej, iż przypominam sobie zarazem, że landary takowe zawsze, latem i zimą, na saniach ciężkich spoczywają. Czemu? Nie wiem i bynajmniej zgadnąć nie kuszę się.

Z tych to przyczyn językiem średniowiecznym mam zaszczyt W. Panu Dobrodziejowi przesłać słowa Księcia Jegomości, zacnego przyjaciela mego, i zostaję z najgłębszem poważaniem sługą uniżonym

1865\. Cyprjan Kamil Norwid.

(Adres:) Monsieur Mr. de Mazurkiewicz à Vaugirard. Place de l'Eglise nr. 7. Paris.

Stempel poczt.:) Paris, 25—27 Juil, 1865. R. St. Lazare.

Nota wydawcy: Autograf w zbiorach rapperswylskich. — W. Mazurkiewicz był sekretarzem Bureau de Bienfaisance du XV Arrondissement. „Książę Jegomość" to zapewne Witold Czartoryski, starszy syn ks. Adama. W r. 1865 „wielce chory", zmarł rzeczywiście t. r. — Chodziło więc, być może, o jakiś zapis dobroczynny.

4\. Do hr. Maleszewskiego.
(1868).

Podziękować Ci nie pospieszyłem za to, żeś był łaskaw znosić się z Wielmożnym Potworowskim.

Robiłem to i rabiam czasem pour ne pas avoir rien à me reprocher, du reste cela m'est indifférent.

Rzecz się u nich tak konkluduje: **Nic nie umiemy zrobić,** — tworzymy ciało i szukamy spółpracowników **podobnych do nas,** — lękamy się wszelkiej indywidualności umysłowej, bo jak palcem ruszy, to nas obali. U ludów parlamentarnych są na to **punkta,** kontrakty i układy; u dzikich plemion i sekt niema **układów,** jest tylko **osób - zbiór i personalna adhezja sensualne.** Możesz powiedzieć, że dlatego i z tego idąc, **wywrócą się i będą O — zero!** Albowiem inaczej być nie może!

Żadne reformy nic nie zrobią tam, gdzie nie idzie o **reformy,** ale o **regenerację.**

Widzi się bardzo często w pięknie ugotowanym rosole marchew, rzepę etc., powykrawaną i uformowaną nożem kucharskim w gwiazdy, cyfry, kwiaty, serca pałające, kotwice i krzyże nawet... Cóż z tego?... Gdyby Fidias i Sanova powykrawali i zreformowali tak marchew i rzepę, — zawsze to byłaby legumina.

Tak dalece płonną jest **reforma** wszelka tam, gdzie **re-generacja** konieczną stawa się.

Vale et me ama.

1868\. Cyprjan Norwid.

(Adres:) Monsieur le Cte Maleszewski.

Nota wydawcy: Autograf w bibljotece im. L. Kronenberga w Warszawie, rkp. nr. 876. — Trudno określić naprawdę o którego z Maleszewskich tu chodzi; może o Gustawa (ur. 1800), oficera powstania listop., później prezesa Koła Polskiego w Berlinie. List jest echem jakiejś podejrzanej widać próby organizacji nowego ugrupowania ideowego na emigracji. Dała ona Norwidowi sposobność do wyrażenia poglądu na całą emigrację, poglądu — gorzkiego.

5\. Do Ludwika Mierosławskiego.
(Dnia 23 września 1870).

Kochany Generale.

Głuchy, chory, smutny, zamyślony, z karnetem i ołówkiem w ręku wlazłem gdzieś, a ktoś zawołał: **eppion Prussien!** Z bólem ironji przebrnąłem tę pianę sprawy niewygodnej.

(Dokończenie na stronie 12-tej.)

Koniec Europy

Dr. K. M. Morawski, znakomity historyk i niestrudzony badacz masonerji prawdziwej, wygłosił w tow. im. Piotra Skargi w Warszawie niezmiernie interesujący odczyt o dziełach najznakomitszego historyka i filozofa katolickiego współczesnej Szwajcarji, Gonzagi de Reynold'a, szczególnie o ostatniem, syntetycznie ujmującem współczesny przełom duchowy naszej kultury: „La fin d'Europe, la révolution tragique, la fin d'un monde".

Szwajcarja jest krajem pełnym sprzeczności — mówił dr. Morawski — z jednej strony piękna przyroda i beztroscy mieszkańcy, którzy wydawali się nam bezpieczni od kryzysu, z drugiej pod powierzchnią sielankowych pozorów i pogodnej zewnętrzności spotykamy najczarniejszy pesymizm, zimny realizm, bardzo męską postawę w zmaganiu się z ciężkiemi trudnościami chwili. Świetna tradycja militarna i szara praca na polu ekonomicznem, bohaterstwo wojenne i zabiegliwy zmysł kupiecki. Zmysł organizacyjny jest może najbardziej charakterystyczną cechą narodową; gdzie się spotka trzech Szwajcarów, powstaje organizacja. Rodzina, gmina, kanton, federacja to jednostki organizacyjne nabrzmiałe wiekami tradycji, na których tle wyrasta szwajcarski ustrój demokracji elitarnej, łączący swobodę jednostki z najwyższym możliwym poziomem cywilizacyjnym ogółu.

Jednakże i w tym kraju, zda się bezsprzecznie zatrzaśniętym w swym schowku z wysokich gór, zasłoniętym od europejskich burz, konfliktów, nurtujące całą współczesną Europę, znalazły swój wyraz. Na ich tle powstaje głęboko pesymistyczna, choć zakończona mocnemi akcentami wiary, książka Gonzagi de Reynold. Jest to jeszcze jedna z prób syntezy epoki, tak obecnie częstych, odnawiających tradycje „Sum" świętego Tomasza z Akwinu. Najwybitniejsi jej przedstawiciele, to emigrant rosyjski Berdjajew, również wygnaniec, Szwajcar Förster i u nas Roman Dmowski. Wśród młodszych piór wyróżnia się Doboszyński, który w swej ostatniej książce ściśle nawiązuje do św. Tomasza, często sam próbując syntezy.

3 POKOLENIA.

Reynold daje w swem dziele obraz 3 generacji: przedwojenej, wojennej i powojennej, ukazując przepaść między dawnym typem patrycjusza szwajcarskiego, światowca i europejczyka, kosmopolity starannie przy pomocy familijnych funduszów zakładowych wychowanego, a „wojennym" typem nowym, zmuszonym do walki z przeciwnościami, w ciężkich warunkach zdobywającym sobie miejsce w społeczeństwie, odznaczającym się brakiem równowagi umysłowej i często słabością fizyczną, mało uczuciowym, lub nie okazującym swych uczuć, przedwcześnie dojrzałym. Jest to pierwsze pokolenie, które zaczynało swą karjerę od zera. Ci, którzy wyjdą z walki zwycięsko i nie dadzą się złamać — zostaną wodzami. Warunki, w których obliczu stają, nie są do pozazdroszczenia.

REWOLUCJA EUROPEJSKA.

Swój „Sąd ostateczny nad Europą" (jak go nazywa dr. Morawski) ujmuje de Reynold w formie jakby średniowiecznego tryptyku. Lewe skrzydło stanowi wielka rewolucja europejska, w której koncepcji i ocenie zgadza się autor z Berdjajewem, rewolucja od wieków odbywająca się pod powierzchnią życia europejskiego, na zewnątrz wyrażona w tem, co nazywamy humanizmem. De Reynold przyjmuje nowoczesny pogląd katolicki na humanizm, jako bunt czysto ludzkich pierwiastków przeciw porządkowi bożemu. Za herolda owego rozpętania się instynktów ludzkich wyzwolonych uważa Rousseau'a. Syntezy te są jednak dopiero pionierską próbą zapuszczenia się w nieznaną puszczę historji niefałszowanej. Mnożące się dzieła, rzucające jaskrawe światło na fałszywie ubraną masońskimi świecidełkami rzeczywistość historyczną, przekonują nas raz po raz, że cała historja od szeregu wieków powinna być właściwie napisana poraz drugi.

W swym przeglądzie prądów społecznych i nacjonalistycznych, ruchów ideowych jak romantyzm, demo - liberalnych, jak rewolucje socjalne XIX wieku de Reynold zamało wykazuje znajomości owych ciemnych sił, które z ukrycia wywierały swój wpływ na bieg wypadków. Rozwój nacjonalizmów nie był wolny od tych wpływów, na co wskazują dziesiątki dowodów, jak choćby zdobiąca w dnie uroczyste fasady wszystkich faszystowskich budynków gwiazda pięcioramienna, jeden z podstawowych symbolów masońskich, lub barwy sztandaru włoskiego, będące prawdopodobnie barwami Wielkich Lóż Italskich. Masonerja wycisnęła swe piętno na romantyzmie, który siał zniszczenie pierwiastków chrześcijańskich w duchu narodowym, a hasła „wolność, równość i braterstwo" powtarzane były w dziesiątkach lóż przez cały wiek XVIII i wcześniej, zanim wybuchły w rewolucji francuskiej.

Obecnie ten duch humanizmu wcielа się w dwa potworne ruchy: amerykanizm i bolszewizm, ruchy pozornie sprzeczne, ale w istocie swej blisko siebie pokrewne. Pierwszy z nich, oficjalnie przez kościół potępiony jako swoisteго rodzaju herezja współczesności, wpędził świat w kryzys, w jakim się znajduje. Daty 1917 (rewolucja bolszewicka) i 1926 (początek kryzysu), przejdą do historji jako równie przełomowe, jak rok 1789 — rok rewolucji francuskiej. Ściśle z temi zagadnieniami związana jest kwestja żydowska, którą de Reynold uważa za linję demarkacyjną, między myśleniem starem i przestarzałem, a nowoczesnem. Antysemityzm, nie t. zw. zoologiczny, ale mądry, oparty na głębokich podstawach badań i wiedzy i nieubłaganie zdążający do celu, jest potrzebą chwili.

KONTRREWOLUCJA.

Prawe skrzydło tryptyku — kotrrewolucja narodowa, ukazuje pole bitwy różnych idei i zagadnień, ścierających się jeszcze ciągle między sobą. Z walk tych wyłoni się dopiero nowa rzeczywistość. Szwajcarja w tej trudnej chwili nie zawsze postępuje zgodnie ze swym interesem. Przemówienie Motty na Radzie Ligi i głosowanie w parlamencie nad sprawą plk. Villego — to dwie strony medalu. W każdym razie pewnem jest, że dalsze zachowanie neutralności przez Szwajcarję, ogarniętą powszechną rewolucją europejską, jest niemożliwe.

Stosunek de Reynold'a do hitleryzmu jest krytyczny, ale znakomity filozof uważa jednak, że było to zjawisko żywiołowe, które uratowało Niemcy od komunizmu. Porównując hitleryzm z faszyzmem, sceptycznie wyraża się o Hitlerze, który nie poszedł w ślad Mussoliniego i nie ukoronował, jak tamten, piramidy hierarchicznej swego narodu — monarchją.

Centralne skrzydło zagadnienia ujmuje de Reynold w rozdziale pt. „Potrzeba jedności". Tezą jest potrzeba nawrotu do teokracji. Jedyną płaszczyzną, na której może nastąpić zjednoczenie, scalenie poszarpanej szalejącą rewolucją Europy, jest powrót do niezniszczalnych wartości kultury chrześcijańskiej.

Obrazem symbolicznym świętego Gotarda, potężnej góry, wznoszącej się nad ziemią, niewzruszonej opoki, z której tryskają życiodajne strumienie, kończy dr. Morawski swój wykład, przyjęty grzmotem oklasków przez słuchaczów przejętych do głębi wyrazistością wizerunku współczesności, ukazanego ich oczom. (a. m.)

TADEUSZ ROESNER

U źródeł polskiego modernizmu

Szkic mój nie ma pretensji do naukowości — jest zbiorem uwag nad problemem genezy modernizmu wogóle, a w Polsce w szczególności.

Za punkt wyjścia moich rozważań przyjmę przeobrażania się teoryj poznania w ciągu XIX w., bo tutaj widzę istotne źródło nowych prądów umysłowości z końca XIX wieku. Sięgnąć wypada jeszcze do Kanta, którego system filozoficzny ciążył nad umysłowością Europy przez czas długi, bo aż do romantyzmu, a i w epoce pozytywizmu odezwie się silnie. A więc, rozpatrując zagadnienie poznania, utrzymuje Kant, że istnieje „rzecz sama w sobie" — niezależnie od umysłowości i istoty człowieka, jednak przez rozum jego poznawalna.

Filozofja romantyczna z Fichtem na czele odrzuca tę teorję Kanta, twierdząc, że „świat — to jaźń" każdego człowieka, a możliwości realnego poznania świata, leżącego poza jaźnią, sprowadza się do zera. Dlatego każde naśladowanie rzeczywistości jest absurdem, a twórczy duch ludzki jest jedyną osią świata. Stąd stawia romantyzm na tak wysokim piedestale twórcę, jako jedynego na ziemi zwiastuna i proroka nieskończoności, której cząstką jest właśnie jaźń artysty. Jedynem przeto zadaniem twórcy jest eksplikacja swojej jaźni twórczej, czyli absolutu.

Różnemi drogami, jak wiemy, dochodzi artysta romantyczny do tego celu. Najgłębszą przyczyną jego tęsknoty do nieskończoności jest przekonanie, że przeznaczenie człowieka wybiega daleko poza granice ziemskiej egzystencji — romantyk szuka przeto ciągle tej drogi ku absolutowi. Nieukojona jego tęsknota jest mu cierpieniem okrutnem; ale znajduje przecież lekarstwo na ucieszenie jej — miłość, i to miłość zarówno niebiańską jak ziemską. Rwanie się ku Bogu, wieczności i absolutowi ucisza się w miłości ziemskiego świata i ziemskiej istoty. Bohater Novalisa, skłaniając głowę na łono kochanej kobiety, zdobywa pełne szczęście i pełne poznanie albowiem miłość zrywa zasłonę z oblicza bóstwa w Saïs.

Poglądy na sztukę łączą się ściśle z tą teorją poznania. Skoro jaźń poety jest wszystkiem, spływa do niej wszystko, jak do oceanu, utożsamiając się z poznaniem i prawdą. Stąd już Schiller twierdzi, że do królestwa prawdy wchodzi człowiek jedynie przez bramę sztuki, a krańcowy pogląd wypowiada Nowalis: sztuka jest nietylko drogą ku poznania wiodącą, ale jest „ein Teil der Erkenntniss" — działem poznania.

Do jedności, jaką stanowią dla twórcy romantycznego filozofja i sztuka, dochodzi jeszcze religja, jednak dominujące stanowisko zajmuje sztuka, ukazująca w obrazie nieskończoność. Gdybyśmy chcieli pokusić się o pewną syntezę — możnaby powiedzieć, że dla materjalisty świat istnieje jako szereg objektów i zjawisk zmiennych w przestrzeni i czasie; spirytualista widzi istotną cechę świata w jego utajonem duchowem znaczeniu; romantyk natomiast uzyskuje pełne poznanie jednocząc oba poglądy.

Nie przekreślając materji romantyzm uduchowia ją — i tu już tylko krok od symbolizmu w sztuce. Nie potrzebuję, ma się rozumieć, podkreślać, jak żywo modernizm związany jest z postacią filozoficzno - estetyczną romantyki. Jak zobaczymy dalej, będzie i wiek odchyleń, jednak punkt wyjścia i założenia zasadnicze pozostaną te same.

Przejdźmy z kolei do omówienia genezy modernizmu od strony najbardziej stosunkowo zewnętrznej, a mianowicie przypatrzmy się zjawiskom nowych prądów w ich historycznym rozwoju.

Otóż jak widzieliśmy, w latach osiemdziesiątych filozofja pozytywna Comta znalazła się u szczytu swego rozwoju, dając światu dokumenty ludzkie Zoli, tłumacząc każdy objaw z punktu widzenia nauk przyrodniczych. Dzieło literackie o ile nie było studjum antropologicznem, było napewno fotografją rzeczywistości. A jednak odczuwać się daje pewne zniechęcenie, apatja i pesymizm. I tutaj jasno musimy zdać sobie sprawę ze znaczenia wystąpień Maeterlincka i Bergsona, którzy zaczęli coraz natrętniej twierdzić, że przecież jest wiele zjawisk takich, których drogą eksperymentalno - przyrodniczą wyjaśnić żadną miarą nie można, że obok „bête humaine" — istnieje też i życie duszy. I teraz następuje pewien rozłam: jednych ogarnia zwątpienie i determinizm — „ignoramus et ignorabimus", propagują oni z zapamiętałością kult złotego cielca, życie filisterskie i kompromis („Rodzina Połanieckich"): i tak „wasze gwiazdy o zdobywcy młodzi — w ciemnościach pogasną znów;" drudzy natomiast, właśnie ci młodzi, rzucają się z całym zapałem do szukania nowych dróg. Wytycznych, ma się rozumieć, niema jeszcze żadnych — część za nową wiarę przyjmuje spirytyzm, który teraz zdobywa sobie ogromne rzesze zwolenników, szczególnie w Anglji i Francji; — inni, pragnąc za wszelką cenę zachować swą młodość, wyodrębniają się zdecydowanie od otaczającego ich świata filistrów, tworząc tak częste wówczas cyganerje i bohemy.

Typowym przykładem takiego wrzenia jest świat artystyczny młodych we Francji. Przyjrzyjmy się przeto bliżej jako, że tutaj skrystalizował się ostatecznie modernizm jako prąd literacki i tutaj korzeniami tkwi nasz modernizm przynajmniej w pierwszej swej fazie. Ale o tem później.

Otóż około 1880 roku naturalizm francuski spoczął już na laurach. Romans stał się zwyczajnym artykułem handlowym, pracowano w nim jak pracuje się w occie, w maśle.

Urzędową zaś poezję reprezentują wystudzeni latami, szlifujący swe wiersze parnasiści.

Jednem słowem, literatura francuska zaczęła kostnieć. Czyta się jeszcze chętnie coprawda Stendhala, Goncourt'ów, Baudelaire, ale niewiara we własne siły, pesymizm, wiejący z ich twórczości, ogarnia całe pokolenie.

Zapładniające pierwiastki przychodzą znów z zagranicy. Muzyka Wagnera w świetnej interpretacji Lamoureux i Colonne'a porusza umysły młodych, którzy dostrzegają u Wagnera obok genjalnego muzyka - poety - ideologa i metafizyka. Powstają gorące spory o estetykę wagnerowską, sztuka kopjowania ustępuje miejsca sztuce oryginalnej transpozycji.

Jednocześnie zwracają baczną uwagę na twórczość prerafaelitów angielskich, którzy szlachetnością charakteru, idealizmem przekonań, tworzyli sztukę wprost przeciwną malarstwu realistycznemu. Zaczyna zdobywać sobie uznanie i żywe zainteresowanie wśród młodych poezja twórców nieznanych i odsuniętych, jak Gustawa Moreau, a przedewszystkiem Stefana Mallarmé'go, który jako jeden z pierwszych stosuje w poezji technikę i środki muzyczne, przekreślając zupełnie architektonikę logiczną, a dalej odkryto ponowine, odepchniętego przez Parnasistów Pawła Verlaine'a, wałęsającego się po szynkach, między jednym a drugim kieliszkiem absyntu zachwycał on wszystkich swemi naiwnemi, tęsknemi piosenkami.

Tak więc powoli tworzą się wśród młodych nowe nastroje, zarzuca się tak szlifowane przez parnasistów metafory, walczy z banalnością stylu, szuka się nowego, gorętszego języka, barwniejszych obrazów. Pierwsze ugrupowanie poetów, wyznających nowe hasła to „La nouvelle vive gauche" późniejsza „Lutèce". Pisują tu Jean Moréas, Tailhode, Henri de Réquier, Verlaine.

Zdecydowany kierunek nowemu ruchowi nadaje twórczość 17-letniego Artura Rimbaud. W 1884 r. powstaje sztandarowy organ młodych „Revue indépendente" pod redakcją kolejno Dujardin'a, Fénéon'a Teodora Wyzewy, wreszcie Gustawa Kahna, który nadał pismu układ systematyczny i celowy, będąc sam w nowym ruchu najwybitniejszym teoretykiem i organizatorem. Jemu zawdzięczamy sformułowanie zasad „wolnego wiersza", jemu wreszcie najwyżej pod względem artystycznym stojący miesięcznik „La Vogue".

Nie obeszło się bez walki: Dwaj parnasiści Gabrjel Vicaire i Henri Beaudaire wydają anonimowo w r. 1885 zbiór wierszy pt. „Les deliquescences d'Adoré Floupette, poète décadent", naśladując wcale zręcznie przesadny styl młodych poetów. Mały ten zbiorek odegrał rolę kamyka, co porusza lawinę. Posypały się setki krytyk i polemik, a mianem dekadenta obdarzono tych wszystkich, co uchybiają pojęciom dotychczasowej poetyki. Naprożno jednak ostrzega się czytelników przed nową poezją ludzi przeważnie niefrancuskiego pochodzenia, a temsamem szkodliwej dla kultury rodzimej — sympatje wszystkich zwracają się zdecydowanie w kierunku młodych.

I wówczas to ci młodzi zaczęli szukać dla siebie jakiegoś szyldu, nazywają się więc najpierw symbolistami. Termin ten padł poraz pierwszy podczas jednego z cénacle'ów u Mallarmé'ego, całkiem zresztą trafny dla jego twórczości. Jednak o symboliźmie jako o kierunku literackim à la longue mowy być nie może, bo każdy z wybitniejszych twórców idzie własną drogą, nie zawsze po linji symbolu. Natomiast wszystkich łączy ta „młodość", zerwanie dawnych pęt, to co chciano zawrzeć w określeniu „moderniste".

Największe jednakowoż zdobycze zawdzięczamy Francji na polu formy. Wprowadza się tutaj nowy symbol w przeciwstawieniu do symbolu dawnego romantycznego, który zamykał w słowie wieczne transcedentalne prawdy. Nowy symbol wyraża też to, co nadzmysłowe, zupełnie innemi środkami, doprowadzając nazwy do specjalnego nastroju odczuwania. Stara technika bierze, uczucie samo, albo jego zewnętrzne przyczyny i objawy i opisuje je, a nowa technika bierze daleki tylko odpowiednik wywołujący identyczne uczucie. Podczas gdy dotąd analizowano, rozrywano wrażenia, dźwięk łączył się tylko z dźwiękiem, a barwa tylko z barwą, teraz tony muzyczne stają się widzialne, kolory śpiewają, głosy pachną (początek daje Artur Rimbaud, do absurdu doprowadza René Shil.

Drugą zdobyczą modernistów francuskich jest zerwanie pęt dawnej wersyfikacji i wprowadzenie t. zw. „le vers libre". Każdemu poecie wolno stwarzać własną oryginalną strofę i używać takiego systemu, jaki odpowiada jego duszy. Nową poezję od prozy odróżnia jej muzykalność. W braku obcego językowi francuskiemu akcentu tonicznego, wprowadzono akcent własnego wzruszenia (t. zw. „l'accent d'impulsion"), on jeden może kierować harmonją strofy.

Takby się przedstawiał w krótkim zarysie przełomowy okres na terenie Francji. Przeniesiemy się teraz już na stałe do Polski. Tło ogólnie podobnie, jak wszędzie — nakreślone już poprzednio. Dorzucić jeszcze należałoby parę rysów charakterystycznych i specyficznych dla społeczeństwa polskiego, a mianowicie rozmiłowanie w historji narodu i tendencja społeczna. Obie te cechy ustaliły się z przyczyn całkowicie zrozumiałych. Naród, dla którego cała teraźniejszość była jednem wielkiem piekłem istnienia, którego przyszłość przesłonięto ciemną, ponurą mgłą, musiał zatonąć w utopji przeszłości, znajdować w niej zadowolenie swych tęsknot, w niej jedynie czerpać podnietę do dalszej beznadziejnej zdawałoby się walki. Stąd wypływa tendencja, z której sobie jasno zdawali sprawę twórcy.

Czego nie można było pod okiem cenzury wyrazić w rozprawie lub na łamach prasy, podawano w wyraźnej aluzji w dziele sztuki.

Utwór literacki stawał się zwolna w Polsce przedmiotem dydaktyki. Chmielowski jeszcze w II wyd. „ZARYSU LITERATURY OSTATNICH LAT" pisze:

„Zasługa pisarza mierzyć się u nas musi i długo jeszcze, nie doskonałością wykonania, ile rodzajem zasad i dążności przezeń szerzonych".

Wyraźny tu wpływ estetyki Tołstoja. Zwolna jednak młodzi zaczynają pojmować, że literatura, że sztuka sama przez się bez niewolniczego ulegania przejściowej doktrynie czy tendencji, może być świadectwem ducha narodowego. W 1887 r. myśl tę krystalizuje poraz pierwszy u nas młody wówczas poeta Miriam w programowym artykule „Życia" warszawskiego.

„Chcemy, pisze — przeciwdziałać pewnemu skrzywieniu pojęć, wywołanemu zbytniem rozwielmożnieniem się tendencyjności w naszej literaturze pięknej, kierując się w wyborze utworów głównie wartością ich artystyczną. Chcemy zapoznać publiczność nasza z najnowszemi prądami we wszystkich piśmiennictwach świata".

Ma się rozumieć „Życie" nie mogło się wyodrębnić zdecydowanie, nie mogło pomijać artykułów naukowo - społecznych. — Jednak główną jego zasługą zostanie przyswojenie Polsce najwybitniejszych arcydzieł literatury obcej i tak zamieszczono w tłomaczeniu: Carducci'ego, Vrchlicky'ego, Harancourt'a, Rossetti'ego, Swinburne'a, Tennyson'a, Baudelaire'a i in.

W dziesięć lat później powstaje nowa placówka młodych, znacznie głośniejsza, bo potwierdzona szeregiem oryginalnych utworów, a mianowicie, „Życie" w Krakowie w 1897 r. pod redakcją Ludwika Szczepańskiego, poety i publicysty. Początki pisma nie zapowiadały nic rewelacyjnego — miało to być kontynuacja „Życia" warszawskiego, a zarazem coś w rodzaju francuskiej „La plume" — antologji rzadkich dzieł uspołecznionych tylko pisarzy.

Niepozorny fakt porusza opinję: „Życie" zamieszcza bardzo życzliwą recenzję książki d'Annunzia tłumaczenia Komryńskiego. Odpowiada na to ze świętem oburzeniem redaktor „Słowa Polskiego", Szczepanowski: jak można wprowadzać do naszej literatury dzieło pisarza „dyszącego rują i porubstwem". Przyklasnął artykułowi temu gorąco prof. U. J. M. Zdziechowski, dziwiąc się niezmiernie, że znalazło się pismo, które ma odwagę bronić zgóry przegranej sprawy.

Tak więc „incipit Tragoedia". Szczepanowski i Zdziechowski stoją na stanowisku estetyki Tołstoja, twierdząc, że jedynie dobro jest najwyższym celem naszego życia, a zarazem i sztuki — odsuwa więc eo ipso na plan dalszy piękno i prawdę. U nas to pojęcie dobra nabrało specjalnego lokalnego zabarwienia, a mianowicie patrjotyczno - narodowego.

Tak więc tylko takie dzieło ma dla nas wartość, które podtrzymuje ducha narodowego, zdaniem Szczepanowskiego i Zdziechowskiego, zapatrzonych w posąg Mickiewicza, a literaturę współczesną, podciągających koniecznie do promienistych i Filaretów. Poglądom powyższych autorów wtóruje Chmielowski pisząc:

„Zasłaniają się moderniści czcią dla sztuki czystej, ale nie, tety, sztuka ta aż zanadto często jest nieczysta".

Takie same stanowisko zajmują ks. Jan Pawelski, który cieszy się ogromnie, że niema u nas typów takich (Homo Sapiens), oraz Henryk Struwe.

Tak więc jeśli przeciwnicy „Życia" na swoim sztandarze wypisali hasło „Dobro plus piękno", to „Życie" natomiast wzięło za dewizę słowa Oskara Wilde'a: „Niema książki złej lub dobrej, są tylko książki źle lub dobrze napisane".

Na ataki Szczepanowskiego odpowiada pierwszy Ludwik Szczepański w artykule „Sztuka narodowa", twierdząc, że sztuka w założeniu swem jest kosmopolityczna, artysta nie znosi ograniczeń, gdyż podstawą sztuki jest swobodą i wystarczy by twórca wyraził treść swego ducha w najdoskonalszy sposób, a sztuka jego jest i piękną i pożyteczną i narodową. Głębiej jeszcze kwestję tę rozpatruje Artur Górski, umieszczając szereg artykułów pt. „Młoda Polska", podpisanych „Quasimodo". Podkreśla autor przedewszystkiem rozłam, jaki wytworzył się między starem, a młodem pokoleniem, a dalej między młodym twórcą a społeczeństwem:

„Z jednej strony stanęła prawda dla prawdy i sztuka dla sztuki — z drugiej praktyczny punkt widzenia narodowo - społeczny, albo religijny".

„Chcemy się oprzeć — pisze przed zalewem warcholstwa i faryzeizmu, chcemy wytworzyć wokoło siebie trochę wolnego miejsca, aby dać piersiom swobodniej odetchnąć w dusznej atmosferze krakowskiej".

Odpiera też zarzut braku patrjotyzmu i narodowości — stwierdza, że najwyższą literaturą jest literatura ogólno - ludzka, literatura, która nie kończy się za tą lub ową granicą wyrazu „całego człowieka", podchwytując myśli i uczucia wspólne każdej duszy i sercu ludzkiemu. A że „Obiit Conrodus - natus est Gustavus" — nie może być tutaj zarzutem. Epoka przecież inna. Z romantycznego zapału ostudziły młodą generację dwie katastrofy powstaniowe, pozytywizm więc wydrwił uniesienia i marzycielstwa. Gdy jednak i jego lekarstwo — praca organiczna" zawiodła sromotnie — przeszła prawem kontrastu kolej innych haseł, które głoszą odwrót od rzeczywistości smutnej i ciemnej w jedyny wolny kraj — wiecznej chimery.

Zrozumieć łatwo jak ciężką musiało stoczyć „Życie" walkę w obronie takich haseł. — W głowie starszego pokolenia pomieścić się nie mogło, że sztuka nie będzie teraz skarbczykiem historycznych pamiątek. Posypały się więc polemiki, drwiny — pismo jednak popularności nie zdobyło — było ciągle odsuwane w cień i niedoceniane.

Prawdziwą walkę, a zarazem nową erę dla „Życia", rozpoczął dopiero młody, ale szeroko już w Niemczech znany St. Przybyszewski, który przyjechał do Krakowa i stanął na czele Młodej Polski w lutym 1899 r. Sława poprzedza przyjazd wielkiego Przybysza: dla młodych jest on uosobieniem nowej sztuki — dla starych profanem i dekadentem. Już pierwszy programowy artykuł „Confiteor" wskazuje, że ani jedni, ani drudzy na Przybyszewskim się nie zawiedli. — Nikt przed nim nie sformułował swego światopoglądu tak ostro i zdecydowanie:

„Sztuka nie ma żadnego celu, jest celem sama w sobie".

„Artysta nie jest ani sługą ani kierownikiem, stoi przed życiem i ponad światem — jest Panem Panów nieokiełzany żadnem prawem, nieograniczony żadną siłą ludzką".

Widzimy choćby z kilku tych wytycznych, że program ten różni się zdecydowanie od poprzednich, jeszcze niedawno pisał Górski:

„Programy niech tworzą ludzie nowi, co chcą działać. My piszemy właśnie dlatego, żeby nie działać. Literatura to Pani nasza — Orędowniczka nasza, Pocieszycielka nasza, do której my grzeszni wołamy z głębokości naszych pragnień i smutków".

Zarysowuje się też wyraźny rozłam wśród młodych: jedni idą za Górskim, Zdziechowskim, Wyrzykowskim, zapatrzeni w ideał syntetycznej twórczości narodowej z Mickiewiczem na czele, drudzy za Przybyszewskim — apostołem „czystej" sztuki indywidualistycznej.

Rozłam ten z latami się pogłębiał i doprowadził do likwidacji „Życia". Jeśli chodzi o wystąpienie Przybyszewskiego, to teorje jego rozpatrywać trzeba z dwóch punktów widzenia: 1) jako osobiste, skrajnie subjektywne „credo" szczególnie tam, gdzie mówi o „nagiej duszy", „androgyniźmie" i „nowej sztuce". Teorje te znalazły zrozumienie u nielicznych tylko jak: Micińskiego, Wyspiańskiego, Żeromskiego i Żułtawskiego, podczas gdy 2) jako wyraz całego pokolenia były sztandarem w walce o zdobycie szerokich praw osobistej swobody dla twórczej jednostki.

Tak więc reprezentantem młodego pokolenia jest Przybyszewski o tyle, o ile w „Życiu" występuje przeciw sztuce tendencyjnej, pouczającej, sztuce — rozrywce, oraz przeciw ograniczeniu praw artysty. Przybyszewskiemu zawdzięcza więc modernizm bardzo dużo: sugestywnem słowem, doborem genjalnych współpracowników jak Wyspiański, wysokim poziomem artystycznym zamieszczonych utworów — zadecydował ostatecznie o zwycięstwie modernizmu, który za inicjatywą Feldmana na wzór „Młodych Niemiec" przyjmuje szyld „Młodej Polski".

Takby się więc w szkicowym rzucie przedstawiała geneza i krystalizacja modernizmu w Polsce.

Twórczość K. Dobrzyńskiego

Stwierdzenie, że żyjemy w okresie głębokich przemian, dokonujących się we wszelkich dziedzinach, byłoby wypłowiałym truizmem, gdyby ono nie było nam potrzebne dla scharakteryzowania twórczości poetyckiej K. Dobrzyńskiego. Można powiedzieć, że Dobrzyński jest produktem owego procesu pantransforamacji kulturalnej, polegającej na tem, że warstwy niehistoryczne poczynają wnosić swoje wkłady do gmachu kultury i to coraz częściej, coraz świadomiej, coraz liczniej.

Dawniej, przed kilkudziesięcioma laty, dokonywało to się spontanicznie, nagle, żywiołowo, jednorazowo i — wyjątkowo. Mamy tu na myśli: przedewszystkiem genjusz Kasprowicza, którego cała wyjątkowość polegała na tem, że był — genjuszem. Dzisiaj spotykamy się niejako z akcją bardziej zorganizowaną i ciągłą. Dzisiaj właśnie grupy społeczeństw najniższe dążą do szczytów już z naturalnego popędu. Dzisiaj fakt, że syn chłopa lub robotnika objawia niezwyczajne zdolności i je urzeczywistnia, nie jest wypadkiem odosobnionym, lecz zjawiskiem prawie, że powszednim.



Piewca robotniczej Łodzi

Twórczość Kazimierza Dobrzyńskiego może być uważana za synonim tych organicznych, twórczych przeobrażeń, jakie dokonują się w łonie klasy pracującej, proletarjatu. Będąc synonimem, jest jednocześnie czemś nowem, świeżem, niezwykłem.

Na czemże ta nowość, świeżość i niezwykłość talentu Dobrzyńskiego polega? Otóż Dobrzyńskiego poezje są wyrazem przeżyć proletarjusza. Widać w nich bunt przeciwko żelaznej woli kapitalisty, walkę z nędzą, ciężki roboczy trud. Jest to poezja — w najbardziej charakterystycznych swych miejscach — fabryki, maszyn, transmisyj, kotłów, młotów, żelaza. Zdawałoby się, że wskutek tego będzie ona poezją międzynarodówki, objawem artystycznym idei marksowskich, jak te wszystkie, z któremi się tu i tam spotykamy.

Tymczasem Dobrzyński będąc „prolejem", ani na chwilę nie przestał być... Polakiem. I to czyni zeń zjawisko jak dotąd niezwykłe. Wszyscy poeci proletarjaccy siedzą po uszy w grząskiem bagnie humanitaryzmu w imię „deklaracji praw nowego, wolnego człowieka". Są niczem innem, jak tylko tworem wyłącznie tego kompleksu stosunków socjalnych, jakie dzisiaj dominują. Nie stoją przed niemi, nie opanowują ich, nie władają niemi. Dobrzyński zaś jest czemś więcej. U niego widać przezwyciężenie swego środowiska, zdolność oswobodzenia się z jego więzi i kierowania nim. Jest nietylko proletarjuszem, walczącym o wartość świata pracy, lecz także człowiekiem, mającym świadomość swej natury i osobowości, czułym na wartości narodowe, społeczne.

Wiersze jego nie mają nic z charakteru „rewolty" artystycznej. Przeciwnie, ujawnia się w nich silny tradycjonolizm, rodzimość, rdzenność polska. Przypominają Kasprowicza i Mickiewicza nie na tyle jednak, by to uchybiało w wybitnym stopniu artyzmowi. Dźwięczy w nich zdecydowanie męski ton, dzga struna siły, hartu, woli niezłomnej. Zwłaszcza charakterystyczny jest wiersz p. t. „W fabrycznej hali", jako wyraz wyzwalania się z ciała robotnika — duszy. Poeta muzykę fabryki przeplata muzyką — lasów, łąk, słońca, dzieciństwa. Współdźwięczą jednocześnie te dwa akordy, nie wywołując dysonansu.

Dobrzyński nie jest lirykiem - egotystą. W momentach, w których jest on najbardziej sobą, do głosu dochodzi uczucie społeczne, co widać choćiażby w wierszu „Lecą liście":

„Tutaj mróz przyjdzie białolicy...
Krew zetnie w żyłach, tym — bez chaty
Wysrebrzy szronem strzępy szaty
I w perłę zmieni łzę w żrenicy..."

Jest tu jakby nawrót do tej ery, gdy w imię gromady występował śpiewak i wyrażał pieśnią swą uczucia tej gromady. Mamy tu liryzm, ale uspołeczniony, w czem znowu przypomina się Kasprowicz z pierwszego okresu swej twórczości, w którym pisywał poezje nasiąkłe niedolą ludu: — „Z chłopskiego zagonu", i in. Za ilustrację służyć może wiersz p. t. „Robotniku szary..."

Kilka słów wreszcie o formie. Dobrzyński celuje w rytmie. Rym jest u niego słabszy, nierówny, choć nierzadko zdarza się i oryginalny (stearyny — siny, febrą — srebro, krawędzie — legendzie). Najbardziej odpowiada mu verslibryzm. Jest to jeden dowód więcej na to, że Dobrzyński ma coć do powiedzenia. Ma treść, a to najważniejsze. Daleki jest od kunsztownych bawidełek rymowych, które mają tę zaletę, że są kunsztowne, a tę niewybaczalną wadę, że są puste i jałowe. Metafora w wyjątkowych tylko wypadkach nie posiada świeżości i czerstwości. Dobrzyński posiada i błędy. Największym z nich jest — jego młodość. Lecz w niej tkwi i jego moc. ren.

Czarna poezja

Przyszła do mnie —
ONA...
kiedyś, gdym stał u maszyny.
w wysiłku prężącym ramiona,
w smaku gorzkiej śliny
wśród chichotu
złośliwych mknących z sykiem pasów.
Przyszła
ona... czarna... symbol czasu —
wykwit dymiącej, umęczonej krwi.
— „Jestem". — To ty?...
Gdzieś cię widziałem, lecz gdzie nie pamiętam —
lecz czekaj... czekaj... — wiem już — w oczach suki,
gdy jej oprawca rozrywał na sztuki
małe szczenięta...
W charkocie, który konał w uścisku obroży
A potem... w oczach zgłodniałej dzieciny,
gdym widział jak bladł
skrawek błękitu zamknięty w żrenicy
patrzącej w świat —
w świat boży.
Ty jesteś inna od tych wszystkich innych;
poczęta w błyskawicy
burz rozszalałych w obłąkanem łonie,
gdy płonie
w oczach krwawą płachtą zgrzyt!...
O... — i ty masz swój rytm!...
Słyszysz ten straszny przygłuszony śpiew,
jak dźwięk chropawy pękniętego dzwonu?
to łzy... to krew...
to pot... setek... tysięcy... miljonów —
kapiące zwolna w zimny świata głaz...
Płyną
monotonną strugą;
kropla goni drugą —
dniem... godziną...
Stanął w biegu czas!
...a one płyną
w przyszłość — w zmierzchły myt,
to twój rytm...
Niema w tobie Romeów, Baetrycz ni Julji,
pachnących słońcem dźwięczących sonetów,
lecz jest muzyka — o, tak — chrzęst szkieletów
okrytych strzępem spotniałej koszuli —
muzyka, głodem roztętnionych trzew...
jest śpiew... jest śpiew...
Tłukących łbami o zębate koła,
na których jeszcze nie zakrzepła krew...
jest śpiew... jest śpiew...
biegnący w dale echowem odbiciem
szaleństwa... wyciem!
Jesteś czarna, jak twarz tych licznych miljonów,
tych wszystkich:
wlokących ciężki łańcuch z kołyski
do zgonu.
Poznałem cię —
to ty byłaś we łzie mojej matki,
wypłowiałej od balji, gdy chleba ostatki
kładła mi w dłonie.
Płakałaś mi na skronie,
jak przyszłych lasów siew...
Chodź!...
Czuję twój zew!...
Pójdziem na rostrum świata,
płonącą żagwią poorzem po niebie
aż stanie w szkarłatach.
Chodź!
Ty jesteś — ja,
tyś mnie zrodziła — a jam stworzył ciebie.
Słyszysz? — głaz drga...
Chodź!
Czas pomyka.
Nastroję ciebie na najwyższy ton,
stanę na rostrum, ja — syn robotnika
bitego ciągle przez opasłą pięść —
dobędę ogień z zasklepiałych łon
Zanucę pieśń.
Patrz, jestem silny — nie zadrży mi ręka...
Widzisz — głaz zbladł...
ręka...
...może runie świat?...

Do poezji...

Szukam Cię ciągle od zarania świata,
Przez wieki całe, zmierzchłe pokolenia;
W coraz to inne wcielam się istnienia —
Gdzie tylko ludzka myśl skrzydłem dolata
Idę za tobą...

Skroń posypałem ofiarnym popiołem,
W łachmanach bólu, przez ciernie i głogi,
Nie widząc końca bezkresnej mej drogi,
Przydrożne płyty zmiatam błędnem czołem.

Szukam Ciebie w gwiazd niebieskich lotach
I w krwi purpurze i w dymów pożodze,
W orgjach szaleństwa, w mdłych oparach złota
I w sercach ludzkich na bezludnej drodze —
Lecz nie znalazłem...

Czas Cię nie zmieścił. Ty ponad krawędzie
Ludzkiego bytu wystrzelasz istnieniem,
I w nieśmiertelnej zaklęta legendzie
Wołasz wciąż na mnie najcudniejszym brzmieniem.

W snach swych Cię widzę. Twe promienne oczy
Głębsze niż wszystkie w świecie oceany,
Swój lazur wzięły z niebieskich roztoczy —
Ciało Twe bielsze ponad morskie piany.

Uśmiech Twój wonny, to symfonja świata —
Najcudowniejsza w wszechświecie piosenka,
Przez palce Twoje złoci się jutrzenka
I cudną głowę w obłok róż oplata.

Och! Kiedy przyjdziesz i usty wonnemi
Szepniesz mi w serce nieśmiertelną pieśnią,
Kiedy się wreszcie sny me ucieleśnią
I raj ożywią na koszmarnej ziemi?

Och! Zanim legnę na śmierci kobiercu,
Szepnij mi słodko zanim zdążę skonać:

I jako pieczęć przyłóż mnie na sercu,
Jak naramiennik włóż na swe ramiona.

W fabrycznej hali

W fabrycznej hali, w chaosie huku,
w czółenek szybkich rytmicznym stuku,
co chcą rozsadzić brzegi swych ram,
raz tu — raz tam! raz tu — raz tam!
Śnią mi się lasy, pachnące lasy
i przecudnowna soczystość łąk!
I dawne cudne dziecińtwa czasy,
i kwiaty barwne prześlicznej krasy,
w fabrycznej hali pachną mi wkrąg!

W fabrycznej hali śni mi się słońce,
śnią mi się niwy rozległych pól,
gdzie chóry wiodą świerszcze grające,
gdzie piosnki swoje słońcem tętniące
sieje skowronek niw kwietnych król!
W fabrycznej hali słońce nie gości
i nie łka tak cudnych złocistych lam!
Tylko czółenka w mrokach ciemności
suną jak gady pełne wściekłości,
raz tu — raz tam! raz tu — raz tam!

Modlitwa wieczorna

Na gwiazdach srebrnych rozpiąłem swą duszę,
Sercem wytrysłem ponad drogę mleczną,
Ponad wszechświaty, ponad martwą głuszę
I nad skrwawioną zórz wieczornych łuną
Ległem przed Tobą ofiarnym całunem.

O Wieczny!
Czuję Cię! Jesteś nademną i we mnie —
Świat Cię nie mieści, lecz ja mieszczę w łonie.
Wiem, że nie będę wołał Cię daremnie:
Przyjdziesz i weźmiesz w Swe świetliste dłonie
Mą skroń znużoną.
A ja Ci powiem tak cicho, cichutko,
Jako do ojca, tulące się dziecię,
O łzach, o bólu i oparach smutku,
Co czarnym kirem wloką się po świecie.

Stoję wysoko, nad rodzinnem gniazdem,
W dymów fabrycznych snujących się hymnie.
Sam jeden jestem! Nie! Ty jesteś przy mnie,
Jesteśmy: Ty, ja, ból ludzki i gwiazdy.

Bądź pozdrowiony, Wiekuisty Panie,
Dymami fabryk i transmisyj sykiem
I lśniącym smarem maszyn rozedrganiem,
Ogniem kotłowym i młotów muzyką,
Zniż Swoje dłonie nad uśpionem miastem,
Błogosław domom, fabrykom, mieszkańcom
I zstąp na ziemię po szlakach mgły nocnej,
Rozjaśnij mroki nadziei kagańcem
I ześlij spokój słodko uśmiechnięty
O Wielki! Mocny!
O Święty!

Szaruga

Rozpłakała się jesienna szaruga,
rozpłakała...
za oknem stoi drżąca cała,
w welonie mgieł...
w dżdżu ciężkich strugach
i patrzy oniemiała
przez męty szkieł...
...szaruga...

Po szybach krople jedną drugą goni,
brzęknie, dzwoni
i spływa ciurkiem za okiennic krańce —
w swojej wędrówki tajemniczy kres,
by w mroków toni,
nim się z za chmury szary brzask wyłoni
spłynąć łez
różańcem ..

Chlupie w oddali rozrzedzone błoto —
pluskocze... moknie...
czasami wicher w kominku zawyje...
przy oknie
jakaś gałąź bezlistna o futrynę bije...
i łka tęsknotą.
Chciałoby się iść przez deszcz i mgły,
pójść ciemną nocą —
lecz gdzie?... i poco?...
czy tam gdzie ognik się stlił
na horyzoncie?...
Czy tam, gdzie w dziurawym goncie
wiatr rozszalały zawodzi swe pienia?
albo za płotem
złowić za włosy jęczącą tęsknotę,
twardem kolanem do błota przydusić,
i zmusić
do milczenia?...

A może przywdziać płachtę deszczów gniłą
i brodzić w plusku po rozmokłych polach,
błądzić po krzewów przytulonych grzędzie
i po rolach
szukać tego, co kiedyś już było —
co kiedyś w marzeniach się śniło
i co będzie?...
Chciałoby się iść... iść ciemną nocą;
tam woła coś i mruga...
ale... za oknem szaruga,
a zresztą gdzie?... i poco?...

Nokturn

Noc... ciemno... głucho. Ostatni błysk świecy
Zaskwierczał, tonąc we łzach stearyny,
Za tuman chmury skrył się księżyc siny,
Błyskając czasem przez płynne jej plecy.

Tańczą drzew giętkie, chybotliwe cienie,
Drżą bezszelestnie pełganiem zgiełkliwem,
I za najmniejszem podmuchu westchnieniem,
Zmieniają kształty, rosną w długie grzywy.

Powstają, nikną, znów tworzą się nowe
I rozedrgane nieustanną febrą,
W niematerjalną, jak duchy osnowę
Wplatają żywe roztopione srebro...

Gdzieś tam z ukrytych sercowych podsieni,
Wytrysły echa przez mroczne tumany
I w rozśpiewaną klawiaturę cieni,
Rzuciły akord dawny, zapomniany.

Perlą się bujnie błyskotliwe dźwięki —
Pachną w nich kwiecia chylące się fale;
Ach, ja znam refren tej dawnej piosenki...
Już, już nie kończcie, sam dośpiewam dalej.

Płynie cichutko cudowna sonata,
Wyczarowana Bethovena dłonią,
Upojna, słodka, o, nie z tego świata —
Dźwięki jej cudne pośród srebra dzwonią.

I dawne cienie ożyły na nowo,
Przychodzą, stają i patrzą z uśmiechem;
Do ust się ciśnie jakieś znane słowo.
Brzmią jakieś szepty zapomnianem echem.

Lecz oto nagle nadpłynął cień wielki,
Głębokie basu w locie trącił struny,
W dźwiękach schmurniałych wiszą dżdżu kropelki
Niedługo zagrzmi i błysną pioruny.

Targają sercem minorowe tony,
To ból zaklęty w Szopenowskie pienia.
Jakieś westchnienia... czyje to westchnienia?
I dzwony biją, jakieś czarne dzwony.
— — — — — — — — — —
Za oknem całun niezmąconej ciszy,
Świat pogrążony w martwej monotonji,
Nikt z tamtych śpiących napewno nie słyszy,
Tych cieni dawnych minionych symfonji.

Wiatr szumi znowu i kołysze drzewa...
Zabrzęczał w szybę i po węgłach wyje...
Trzeba już śpiew ten z cieniami dośpiewać.
Szaf! Cicho, cicho, zegar północ bije!

Poezja słowiańska

J. STERCULOVA

Przegląd współczesnych poetów słowiańskich

Najtęższym twórcą dzisiejszej Słowacji, twórcą pełnym idei jest Emil Bol. L u k a c z (Hymny k slave Hosudarovej, Spev vlkov, Siena, Spoved). Jest poetą cierpienia i tragizmu i przez to tak źle jest pojmowany i interpretowany przez najmłodszą ambitną awangardę. „Hymny" Lukacza wzorowane są na francuskim poecie P. Claudelu, choć wyraźnie poeta słowacki nie tłumaczy go, a tylko się nim szczęśliwie inspiruje. Zbiór „Hymnów" należy do światopoglądowego kręgu chrześcijańskiego i odznacza się tą twórczą analizą i tem konstrukcyjnem sporzeniem, które z odmętu rzeczy umieją zbudować wizje i blaski życia duchowego.

Zbiór „Seina" zawiera wiersze z pobytu Lukacza w Paryżu, podmalowane kolorytem lokalnym nawiązujące do świetności tego miasta i utwory z natchnienia ojczystego. Z przyczyn estetycznych Lukacz daje pierwszeństwo tematom rodzimym. Temat w nich błyszczy czystemi i świeżemi poetyckiemi wyobrażeniami i czytelnika stosunek do nich jest bezpośredniejszy. Są to tematy najwymowniejsze.

Jan S m r e k (Basnik a žena, Iba oczi) jest najpoczytniejszy ze słowackich modernistów. Nie dręczy się wyłuszczaniem ciężkich problemów, swoich tęsknot i przeżyć nie ubiera w maskę fałszywych dążeń. Jest prosty i bezpośredni. Przez te wartości dochodzi Smrek do intymnej bliskości z czytelnikiem, który chętnie szuka wytchnienia dla swych myśli w śmiałych rozpędach poety, który miłuje ciepłe, dziecinne, samorodne, jakby pozłocone pyłem naiwności słowa.

J. R. P o n i c z a n (Som Demontaž, Angara), pierwszy słowacki poeta anarchistyczny i pogański, jest naturalnym, pomysłowym, dosadnym i krzykliwym. Ostatnia jego książka „Angara" (Kotka angorska) jest agitacją rewolucjonistyczną. Poezja jego jest bardzo tematyczna, ale pisana twardem piórem niestępliwego bojowca rewolucji.

L a c o N o v o m e s k' y w „Niedzieli" jest rewolucjonistą ducha i pisma, ale patos i niekrytyczny zapał dla rewolucji w późniejszych wierszach zamienił na poetycki indywidualizm.

Literacka drużyna „Postęp" z R. D i l o n g i e m i A. P o c k o d y m na czele z wielką gwałtownością walczy o nowe ideały w czasopiśmie tegoż samego imienia.

EMIL B. LUKACZ

Pieśń

Przestrzeń ziewa, niedowidzę,
fala milczy dołem.
Oczy gładzą pianę czarną,
my śpiewamy społem.

Statek miecie iskry złote,
które rodzą się i rosną.
Krótki żywot miały wszystkie,
ale drogę jasną.

Na wybrzeżu jodła młoda,
wzrusza ramionami.
Od ojczyzny mil tysiące,
Pan Bóg tylko z nami.

Ze słowackiego tłum.
A. BROSZ.

JAN SMREK

Poeta boleści

Zapłaczcie na mojej piersi, wy ulic kochanki samotne;
Ja chory poeta boleści, chcę gładzić wam czoła wilgotne

Pragnę być bliższym tym ludziom, co noszą piętna Kainów,
chcę przyjacielem być nędznych i marnotrawnych synów

Wzrokiem swoim przemawiam, a wzrok ten nigdy nie kłamie;
już tyle się nałeżałem na stęchłem rozpaczy sianie.

Gdy wyciągacie do mnie dłonie, wy matki o piersiach bladych.
ja wam przyrzekam, że scałuję z łez waszych kałuż ślady.

Pątnicy życia, ranionych nóg, z których krew wam na drogi broczy,
ja chory poeta boleści — ja również tą drogą kroczę.

Kto ujarzmioną ma szyję, nad głową koronę z cierni,
rzucając mu pozdrowienie, na niego spoglądam druh wierny.

Patrzcie, myśmy tu wszyscy pod Ponckiem męczeni Piłatem.
oplwani i przyodziani skrawawionym Bólu szkarłatem.

Ja wasz poeta, zbieram perły, co wasza łza zasieje,
i drogę chcę wam zwiastować, w Przylądek Dobrej Nadziei.

Odetchną tam Ahaswerzy i blade kochanki nocy...
ja chory poeta boleści tam swoją harfą zgruchocę.

Ze słowackiego przełożył
ANTONI BROSZ

VLADMIR KOLKO

Z cyklu: „Patrycjuszowskie ogrody"

Wprowadź mnie w twoją izbę biesiadną,
patrz, oto słońce jeszcze nie zapadło —
będziemy tylko sami
i bzy pachnące z nami.

Przy zastawionym stole posiadamy,
czeka nas wino nieskalane...
fontanny bełkot szumi
zajękną lutni struny.

Tam branzolety złożysz błyszczące
i skłonisz ku mnie twarz bladnącą —
zerwę drogie kamienie...
uśniemy udręczeni.

Gdy za górami zniknie słońce,
bzy westchną... opadną więdnące,
na pstrym kobiercu zostawią cię samą
klejnoty wyblakłe i lutnię złamaną...

Ze słowackiego tłum.
A. BROSZ.

MILUTIN BOJIĆ

Bajka o kobiecie

Senna ziemia oparem dyszy fioletowym,
Modre cyprysy marzą z czołem pochylonem,
Gdzieś ponad Martwem morzem krzyknie nagle wrona,
W czerwonej miedzi tonie słońce południowe.

Ława piaszczysta błyszczy, bieli się, rozlewa,
Drzemie rząd gór w niebiosa cały utopiony
I żórawie posnęły na brzegu czerwonym,
Rój muszek gdzieś nad rzeką drży i cicho śpiewa.

Zlany słońcem, w grze świateł nad ogrom spokoju
Z nudą człowiek na takie rozkosze spogląda,
Leży krwawy, spocony i pełen pożądań,
I w słońcu pragnie nagle ujrzeć postać swoją.

Cieniem marnym jest dzienna dojrzałość leniwa,
On kształty śni niejasne, Nowość niezaznaną,
Pełnię rozkoszy, słońca, niestałych jak piany...
— I nagle w nim namiętność krzyknie przeraźliwie:
Zboczami gór jodłowych schodziła Kobieta.

Ze serbskiego tłumaczył
ZDZISŁAW KEMPF

MIRKO KOROLIJA

Śmiech

Spadł nagle z słońca jak deszcz róż płonących
Twój śmiech i ogród się sperlił kaskadą,
Zdało się: stąpa cała nimf gromada,
Jak mnóstwo małych serc cicho szepczących.

Cała ma dusza zadrżała słonecznie,
Jakby niezmierne morze róż czerwonych
Z twych pocałunków jak fala szalonych
Płynęło na mnie namiętne i wieczne.

I w mgle ujrzałem co mi myśli śmiała,
Że pod pędzących Menad młodą siłą
Jakieś kolumny kryształowe pękły
I pluszczą kwiaty wokół ciała bogów:
Aż nagle spłynął falą kwiatów błogi
Oddech twej duszy młodzieńczej i pięknej.

Ze serbskiego tłum.
ZDZISŁAW KEMPF

ADOLF HEYDUK

Narodził się Chrystus Pan

Gwiaździsta noc i wszędzie mir,
Powszędy świetliste zorze;
Z cudownej bramy obłoków
Spłynęło poselstwo Boże,
Poselstwo pańskie podniebne;
Z niebieskiej aniołów jedności
Z poszumem białych skrzydeł
Spłynęły dźwięki radości:
Narodził się Chrystus Pan,
Bądźmy weseli!

Noc dech wstrzymała z bojaźni,
Toń wód się kryształem zdobi,
Perłami wszystko usiane:
Lasy i pola i groby;
Każda najmniejsza gwiazdeczka
Wyrasta w błogiem omdleniu,
Z wysoka chóry anielskie
Zwiastują w czarownem pieniu:
Narodził się Chrystus Pan,
Bądźmy weseli!

O święci boscy anieli,
Jakże czarowne to pienie!
Świat cały czeka stęskniony
Na twoje odkupienie;
Dawniej zbawienie krzyżował
A teraz go znowu czeka:
Ach, kiedyż się ziszczą święte
Słowa śpiewane od wieka:
Narodzi się Chrystus Pan,
Bądźmy weseli!

O święci boscy anieli
Wyproście u niebios tronu:
Cierpiący i ubodzy
Niech męki nie cierpią do zgonu,
Niech wszyscy ludzie pospieszą,
W ramiona sobie padną
I z duszy niech zaśpiewają,
Jak wy, pieśń gromowładną:
Narodził się Chrystus Pan,
Bądźmy weseli!

Z czeskiego tłum.
J. BIELATOWICZ.

VILKO GABARIĆ

Tęsknota

Ogród i senne kwiaty. Obudzą się świtem.
Teraz białe kolumny dźwigają się dumnie,
Śnienia przybyły zagrać rolę duchów tłumnie,
Ciemna noc przyszła stary krużganek powitać.

I naraz jęknie sowa: kogoś w noc przyzywa,
Głos straszny się odbije od samotnej ściany
I cisza — teraz z głębi idzie ktoś nieznany
I piasek smutno skrzypi pod stopą trwożliwą.

Gdy na to przypłynęło księżyca widziadło,
Wzdłuż marmurowych słupów, które mistrz wyciosał,
Długie i białe ręce wzniosły się w niebiosa
I okrzyk ciął powietrze — i wszystko przepadło.

Z chorwackiego tł.: Z. KEMPF.

DORA GABE

Wawel

Pałace i kościoły tam stoją od wieków,
W piersiach ich drzemie długich wieków cisza,
W ich łonie cię ukryta tajemnica czeka:
— Zatrzymaj swoje kroki, wchodź wolno przybyszu!

Królewskie szczątki leżą w mroku ziemnych lochów
I drogie sarkofagi — naczynia bezcenne —
Zaklęci w twardy kamień czuwają nad prochem.
Królowie nieśmiertelni, krótcy goście ziemni.

Idziesz, niech tobą zawładnie wzruszenie:
W niszy bez ozdób, sarkofag z kamienia,
Chwieje się światło, uśmiech Matki Bożej
Snom błogosławi. W głębi śpi poeta.

W półmroku zadrży cicha świetlna zorza,
Nad miastem czuwa Wawelu sylweta.

Z bułgarskiego tłumaczył
ZDZISŁAW KEMPF

TRIFON KUNEW

Chram

Chram opuszczony. W okna biją z lękiem
Świętego dębu obwisłe gałęzie,
Szept ciemny, hymnów zapomnianych jęki,
Namiętny płacz i głucha klątwa rzęzi.

Duma tam stojąc bóstwo opuszczone:
Miłość. Po ścianach powój się rozłazi,
O okna tłuką gałęzie zwieszone
I pada deszcz: szmaragdy i topazy.

Deszcz leci, ale on ukrytej w cieniu
Bogini nie dosięgnie: w zmierzchu bogów
Śni ona stojąc w niemem opuszczeniu,
Milczy, stoi, śni — nie czeka nikogo.

Z bułgarskiego tłumaczył
ZDZISŁAW KEMPF

BOHDAN ŁEPKI

Nad rzeką

Sam usiadłem nad rzeką, na ziemi,
Sam z tęsknotą, z myślami mojemi.
Idzie mrok. Za górami się pali,
Jak niebieska watra, słońce w dali.
Wiatr od lasów chłodny wiać zaczyna,
Kwiat kołysze, szuwary przygina.
Ponad wsią, od gór, aż tu, w dolinę,
Lekkie schodzą mroki szaro - sine.
Dym z kominów płynie w kształcie cieni,
Mierzchnie obraz, wszystko w sen się mieni.
Tylko w rzece granie, takie granie,
Jakieś szumy w niej, płacze, wzdychanie.
Hej,podobne, rzeko, nasze ciemnie,
Fale grają w tobie, myśli we mnie.
Brzeg ci skował fale nazbyt harde,
A mnie życia konieczności twarde.
Brody mamy i głębie oboje,
I jak ty, chwili jednej nie stoję.
Wędrujemy po górze, po borze,
W niewidziane nigdy czarne morze.

Na polu liśćmi wiatr łopoce
Po wszystkie strony,
Widnieje ledwie wieś w pomroce,
Hen dzwonią dzwony,
Dalekie, ciche, lekkie drgania,
W słabiuchnym chrzęście,
Niby rozpaczne kołatania,
Do bram, gdzie szczęście.

Sam usiadłem nad rzeką na ziemi,
Sam z tęsknotą, z myślami mojemi.
Jak uczta pjana gaśnie dzień,
Za górą w dali,
Dziewiczy klasztor ściele cień,
Wśród niego opali. —

Porzuć ten świat — znikomy świat!
Dzwon huczy z wieży,
A na wieczornych modłów czas,
Rząd mniszek bieży.
W ich rękach świec gorących blask,
A łza w źrenicy,
Porzuć ten świat — znikomy świat!
Huczy z dzwonnicy.

— — — — — — — — —

Hej, podobne, rzeko, nasze ciemnie,
Fale grają w tobie, myśli we mnie.
Słońce gaśnie za górami,
W głębi sioła,
Świat się skrywa zwolna mgłami
Dookoła.

Dni za dniami płyną hyże,
Rok za rokiem,
W grób nam coraz bliżej, bliżej,
Z każdym rokiem.
Taka jama... ciemna siła,
Mocny Boże!
Czy zejdziemy się tam miła? —
Może, może...

Sam usiadłem nad rzeką na ziemi,
Sam z tęsknotą, z myślami mojemi.

A dzwony dzwonią, dzwonią, dzwonią,
Dzwonią dzwony,
Perłowe dźwięki z wiatrem gonią,
W różne strony.
Perłowe dźwięki się zrywają
Aż do nieba,
Szukają czegoś i pytają,
Czegoś im trzeba.

Dni za dniami płyną hyże,
Rok za rokiem,
W grób nam coraz bliżej, bliżej.
Z każdym rokiem.

Z ruskiego tłum. JANINA KOSTYNA.

JAN BIELATOWICZ

„Okna" Michała Pawlikowskiego

Tytuł nie znaczy nic. Wybrał autor pierwszy lepszy. Gdybym miał nadać książce tytuł od jej treści, wybrałbym: „Pogoda" albo „Radość" albo „Radość polskiej duszy". Mało powiedzieć, że płonie w niej optymizm; z tej książki optymizm materjalnie emanuje i podbija serca. Bo książka pisana jest głębią czystego uczucia. I dlatego ujmuje tak, jak pełna silnej pogody dusza jej twórcy. W tym ostatnim z dotąd tworzących potomku wielkiego literackiego rodu skupiła się cała kultura i duma rodu i Polaka i stworzyła nieporównany entuzjastyczny optymizm.

„Okna" jest to zbiór „domowych gawęd" luźnie w formie „magazynu literackiego", zebranych z zadziwiającą prostotą, ładem i bezpretensjonalnie, a zato z wdziękiem. „Zwierzenia poety", „O Maryli Wolskiej", „Wspominki o Kasprowiczu" i „Lektura Króla Ducha" stanowią szczere obrazy szeregu estetyczn. przeżyć, których rodowodu szukaćby chyba można we wstępnym nastroju „Poganki", której oczywiście prażródło, jak wszystkich estetycznych gawęd, znachodzi się w djalogach Platona. „Kultura narodowa", drukowana przedtem w „Głosie", jest rozprawą sztandarową, głęboką, naukową. Jej znaczenie dla rozwoju naszych pojęć, zwłaszcza o literaturze narodowej, stanowi punkt bardzo ważny.

Dwie siły wspierają budowę dzieła Pawlikowskiego: narodowość z całym zespołem płynących z niej podniet etycznych i estetyzm. „To coś, czem przesycony być powinien sam w sobie każdy trud żywota, a z czego bywa dziś głupio albo zbrodniczo wyjaławiany, a co daje człowiekowi poczucie racji bytu i pęd parcia się wyżej".

Michał Pawlikowski z dużą miłością i rzewnością mówi o swoim domu i gościach jego, a właściwie o dwu domach: w Medyce i na Kozińcu w Zakopanem. I nie dziw: domy te mieściły i mieszczą najlepszą kulturalną polskość. Dzięki też najlepszym wspomnieniom domowym i dzięki narodowemu instynktowi mieszczenia się w samotnych dworach, mogła powstać taka miłość domu ojczystego. Więc twórczość Pawlikowskiego mogłaby przyjąć hasło Iłłakowiczównej: „Lecz cokolwiek się stworzy — tytuł trzeba położyć: Dla swoich — nie dla obcych".

Tak, dom jest podstawą polskiej kultury. Ale dom polski. Ten się nie znudzi, bo w n[illegible] bogato i ludno, jak mówi Iłłakowiczówna: „Taki — dom nasz rozległy był, tak przeb[illegible]dniony".

Szkice zawarte w „Oknach" dają żywy przykład, jak ma wyglądać dzieło pióra polskiego, jaki ma być charakter narodowej literatury w tym wypadku krytycznej: pogoda, uczucie, miłość narodu, wiary, przeszłości. A teorja „kultury narodowej" w swej mocnej argumentacji stwierdza rzecz bardzo doniosłą, że „wszelka literatura czy inna sztuka jest rozmową między twórcą a słuchaczem, czytelnikiem, czy widzem. Twórca musi mieć rezonans w duszy drugiej, aby wogóle tworzył". Polska zaś prasa narodowa bardzo skąpą opieką otacza twórczość rdzenną i zdala stoi od sporadycznych wysiłków jednostek, walczących o duszę polską w polskiej sztuce. A „nie będzie w Polsce wielkich twórców narodowych, tak jak wogóle nie będzie wielkich Polaków bez podniesienia ogólnego poziomu kultury narodowej, bez poczucia, któreby każdy dom, każdy pałac i każdą klitę biednego sublokatora przeniknęło, poczucia wielkości i dumy narodowej, ambicji na jej odrębność i gotowość do walki i ofiar za nią". Wielkość zaś wszelkiej twórczości narodowej stanie się ciałem, gdy „nie przestaniemy być Polakami w każdym zakątku naszej duszy".

„Okna" Michała Pawlikowskiego są jednem z pierwszych dziel naszej świadomie narodowej krytyki literackiej. Że utwierdziły nienaruszalność tez narodowych pierwiastków w artystycznej twórczości witamy je entuzjazmem zawsze wiernych sprzymierzeńców.

L. ANDREJCZIN

PROFESOR KAZIMIERZ NITSCH

Z okazji Jego jubileuszu (60-lecie urodzin: 1874 - 1934)

Prof. K. Nitsch należy do najwybitniejszych współczesnych slawistów - językoznawców i jest największym przedstawicielem geografji językowej w nauce słowiańskiej. Dzięki niemu dialekty języka polskiego — ulubiony przedmiot jego badań — są dzisiaj tak opracowane, jak chyba nie są opracowane dialekty żadnego z pozostałych języków słowiańskich.

Uroczystość jubileuszowa odbyła się w Krakowie, w dniu 30 września bież. roku, w sali uniwersyteckiej, w której on, swojemi z rzadką umiejętnością, zamiłowaniem prowadzonemi wykładami, od długiego szeregu lat budził pęd i zapał do nauki o języku w wielu pokoleniach uczniów, z pośród których wyszło już dużo wybitnych pracowników na polu językoznawstwa. Skromna ta sala wykładowa — bezwątpienia najodpowiedniejsze miejsce dla jubileuszu takiego uczonego, jakim jest prof. Nitsch, który zewnętrznego blasku nie lubi i zawsze unika — miała tego dnia szczególnie imponujący wygląd, przepełniona rozentuzjazmowanymi wielbicielami wielkiego uczonego — jego przyjaciółmi i kolegami, a głównie jego licznymi uczniami (czyby się znalazł inny uczony, któryby miał tylu uczniów, co prof. Nitsch?) Szczęśliwa okoliczność, że jubileusz odbył się bezpośrednio po zamknięciu w Krakowie II-go międzynarodowego zjazdu Slawistów, pozwoliła wziąć udział w uroczystości znacznej części jego zagranicznych uczniów i wielu wybitnym przedstawicielom slawistyki ze wszystkich krajów, co przydało uroczystości tej charakter wielkiego triumfu całej lingwistyki słowiańskiej.

Burzliwe oklaski, niemilknące w ciągu kilku minut, przywitały pojawienie się na sali Kochanego Profesora. A potem — kilka krótkich przemówień, prostych, bez żadnych frazesów. Albowiem dzieło prof. Nitscha jest tak olbrzymie i tak pełne treści, że kiedy jest o nim mowa, miejsca dla frazesów niema. Zwyczajem jest, że dla uczczenia uczonych w takich wypadkach wydaje się księgi pamiątkowe. Taką księgę wręczono i prof. Nitschowi (t. XII poznańskiego czasopisma Slavia Occidentalis), co właśnie było głównym momentem uroczystości. Ale księga ta pod jednym względem bardzo różni się od innych ksiąg tego rodzaju: wszystkie 35 artykułów, zawartych w niej, pisali wyłącznie uczniowie Jubilata! A ileż tomów trzebaby było wydać, gdyby w tej księdze brali udział wszyscy wielbiciele słynnego wszędzie i cenionego uczonego?

Ilościowo dotychczasowy dorobek naukowy prof. Nitscha wyraża się blisko w 350 pozycjach bibljograficznych. Tu wchodzą — to jest uwieńczenie Jego działalności naukowej — podstawowe dzieła w zakresie dialektologji polskiej (monograficzne badania poszczególnych obszarów i zagadnień, syntetyczne opracowania całego terytorjum języka polskiego, ważne przyczynki do polskiego atlasu lingwistycznego), należy dalej wymienić kilka prac z zakresu innych języków słowiańskich i cały szereg drobniejszych artykułów i krytycznych rozpraw, pisanych na najrozmaitsze tematy i z najrozmaitszych powodów, świadczących o ogromnej skali jego naukowych zainteresowań i odbijających jego zapatrywania na różne kwestje teorji i praktyki językowej.

Oddanie się prof. Nitscha lingwistyce jest bezgraniczne, nawet fanatyczne (w dobrem tego słowa znaczeniu). Służy on nietylko językoznawstwu polskiemu, nietylko slawistyce, ale i językoznawstwu wogóle — nauce, która interesuje się zjawiskiem mowy ludzkiej, działalnością językową ludzi. Tylko w związku z tą konkretną grupą językową, z konkretnem terytorjum językowem, z konkretną stroną rzeczywistości językowej, która jest przedmiotem Jego bezpośrednich badań, jest On slawistą, polonistą, dialektologiem. Prof. Nitsch jest człowiekiem czynu. Nie lubi odrywać się od bezpośredniej, aktualnej rzeczywistości. W pracach Jego odbija się żywa rzeczywistość językowa, aktualna rzeczywistość języka polskiego w aspekcie przestrzennym, w całej jego rozciągłości terytorjalnej, we wszystkich jego gwarach. Prof Nitscha nie zadawala statyczna indywidualna kontemplacja prawd naukowych. Wiedza jest dla Niego naprawdę źródłem najwyższych radości, umie on cieszyć się z wiedzy tak, jak mało kto, ale pełną satysfakcję czuje dopiero wtedy, kiedy swoją wiedzą, wynikami badań i działalnością swoją przyczyni się do dalszego postępu nauki, do większego jej rozpowszechnienia.



Dlatego też jest on nietylko wielkim uczonym, ale i znakomitym organizatorem i nieporównanym pedagogiem.

Napewno niema pomiędzy językoznawcami polskimi innego tak poświęcającego się pracy organizacyjnej i wydawniczej, jak prof. Nitsch. Codzień jest on w swojem seminarjum językowem, w Studjum Słowiańskiem U. J. i w Polskiej Akademji Umiejętności. On bowiem jest duszą życia językoznawczego w Krakowie i wszędzie obecność jego jest potrzebna. I nigdy on dla nauki nie szczędzi swego czasu, trudu i nerwów. Na stole Jego zawsze leżą jakieś korekty z licznych wydawnictw lingwistycznych, które wychodzą pod jego kierownictwem i opieką. Trzy z polskich czasopism językowych (Rocznik slawistyczny, Lud słowiański i Język polski) zawdzięczają głównie jemu swoje istnienie.

Językoznawstwo jest nauką niepopularną. Przedstawiciele jego są nieliczni i zwykle są osamotnieni. W związku z tem i młodzi językoznawcy zwykle nie mają możności czerpać wszystkich korzyści, płynących z bezpośredniego zetknięcia się z większem gronem specjalistów. Ale w Krakowie prof. Nitsch i jego koledzy dokonali prawdziwego cudu: skupiono tu tylu pracowników naukowych, zorganizowano tak zakłady, prace i ludzi, że naprawdę stworzono idealna atmosferę, w której jak nigdzie indziej wre naukowe życie lingwistyczne, wre natężona praca i twórczość naukowa. Tu młodzi adepci językoznawstwa mogą kształcić się przy wyjątkowo sprzyjających warunkach. Ten, kto miał to wielkie szczęście pracować pod kierownictwem prof. Nitscha, będzie na zawsze czuł bezgraniczną wdzięczność do tego tak życzliwego, lecz wzorowego opiekuna i mistrza, pomagającego młodym we wszystkiem, co może zdziałać, (a on dużo może!), ale i dużo od nich wymagającego, ceniącego przytem i życzliwie popierającego ich samodzielne przejawy.

Przeszedłszy wiedzę lingwistyczną w całej jej rozciągłości, zajrzawszy i poza granice, gdzie ona kończy się i łączy z innemi dziedzinami wiedzy ludzkiej, umie on z rzadką przenikliwością odsłaniać swoim młodym słuchaczom istotę i specyficzność zjawisk językowych na tle kultury ludzkiej wogóle. Nie należy on do tych uczonych, o niepraktyczności których opowiadają anegdotki. Ze swoją rozległą wiedzą, ze swojem ogromnem teoretycznem i praktycznem doświadczeniem jest on nieocenionym kierownikiem młodych w ich dążeniu do zorjentowania się w chaosie rzeczywistości i w labiryncie ludzkiej wiedzy.

Człowiek szlachetny, wierny kapłan sprawiedliwości i prawdy, nie znający zbaczań w swojej drodze, zawsze konsekwentny w czynach wobec swoich idej i przekonań, ten wielki uczony o mocnym charakterze i jaskrawej indywidualności stał się jednym z najbardziej popularnych, a zarazem i przysłowiowych uczonych wśród społeczeństwa polskiego. Sława zaś jego naukowa szerzy się daleko poza granicami Polski.

Stanisław Szczepanowski, miłośnik klasycyzmu

Lwowskie pismo poświęcone kulturze klasycznej — „Filomata" zamieściło w nrze 57 artykuł mój pt. „St. Szczepanowski wobec klasycyzmu". Artykuł ten przesłałem córce Szczepanowskiego, p. Zofji Szumanowej w Krakowie. Otrzymałem potem list z podziękowaniem i szczegółami, które ze względu na swoją niezwykłą wagę, ośmielam się tu przedrukować. Zajęcie się klasycyzmem Szczepanowskiego uznaje jego córka szczególnie dlatego, że zamiłowanie w antycznej kulturze, to „moment dla Szczepanowskiego charakterystyczny, a dotąd nieporuszany".

„Starożytność, zwłaszcza grecką — pisze p. Szumanowa — miłował ojciec głęboko i uważał ją za jedno z niezbędnych i wciąż żywych źródeł naszej kultury. Sądzę, że zaciekawi to Pana, iż matka moja, mając już kilkoro dzieci, uczyła się po grecku specjalnie w tym celu, aby synowi (w klasach szkoły powszechnej) udzielać greki metodą rozmowy oraz czytania łatwiejszych autorów, co też zostało przeprowadzone.

Ojciec bowiem chciał, aby język grecki był pierwszym obcym językiem ,który sobie dziecko przyswoi, a kultura grecka pierwszą — po polskiej — z którą się dziecko zetknie — naiwnie jeszcze zetknie po dziecięcemu, ale niemniej serdecznie i głęboko.

Dziękuję raz jeszcze serdecznie tembardziej, iż nie przypuszczałam, aby wpływ mojego ojca trwał jeszcze wśród młodzieży".

Nazbyt to potężna postać, by ktokolwiek w Polsce mógł o niej nie pamiętać. A wzory jej powinny nam być święte.

Jan Bielatowicz.

WIKTOR WĘGLARZ

Z zagadnień pochodzenia polskiego t. zw. języka literackiego

Dialekt kulturalny — tak bowiem będziemy tu nazywać, idąc w tem za prof. J. Rozwadowskim i prof. K. Nitschem, ogólno - narodowy i oficjalny język sfer wykształconych i państwa, niesłusznie zwany językiem literackim, które to miano przysługuje raczej indywidualnym językom poszczególnych literatów — otóż dialekt ten w zasadzie powstaje i rozwija się na podłożu dialektów. Faktem jest, że kulturalny dialekt francuski opiera się na narzeczu paryskiem, kulturalny dialekt niemiecki na północnem narzeczu górno - niemieckiego języka itd., że więc i podobnie podstawą polskiego dialektu kulturalnego będzie jakieś narzecze ludowe. Ale które? Oto pytanie na które liczni uczeni szukają definitywnej odpowiedzi.

Spór o pochodzenie polskiego t. zw. języka literackiego, który wszczęli najpierw Nitsch (Jęz. Pol. I. 33. id. oraz 79 id. Kraków 1913 r.) i Brückner (Encykl. Pol. 2, str. 73 id. Kraków 1915 r.), trwa właściwie jeszcze do dziś. Pierwszy z nich wysunął t. zw. tezę wielkopolską, opierając się przytem na kilku faktach językowych, z których przedewszystkiem dwa tj. brak mazurzenia, a więc wymowa ż y t o jak w większości dialektów polskich, oraz rozróżnienie i wąska wymowa nosówek ą, ę, podczas gdy w Małopolsce panuje w zasadzie wymowa szeroka obu tych nosówek, doprowadzającą niekiedy do zlania się ich w nosówkę jedną, najwyraźniej wskazuje na Wielkopolskę jako na podłoże kulturalnego dialektu polskiego.

Przeciwnie Brückner, uwzględniając fakt, że najdawniejsze zabytki piśmiennictwa polskiego i pierwsi pisarze polscy jak Marcin Bielski, Jan Kochanowski i inni są pochodzenia małopolskiego, utrzymuje, że kolebką polskiego języka literackiego była właśnie Małopolska.

Do dyskusji przyłączyli się potem inni uczeni, a mianowicie Łoś (Jęz. Pol. III. 113 id., Kraków 1916 r.), a przedewszystkiem prof. T. Lehr-Spławiński, (Przegl. Współcz. XVIII 322 id., Kraków 1926), który poparł stanowisko Nitscha, zwracając uwagę: 1° na tradycyjną pisownię grup spółgłoskowych tw, sw, kw, co jest odbiciem do dziś jeszcze istniejącej takiej wymowy wielkopolskiej, podczas gdy w Małopolsce jak zresztą i w samym dialekcie kulturalnym wymawiamy grupy te jako tf, sf, kf; 2° na właściwości nosowej artykulacji samogłosek nosowych. W wymowie bowiem kulturalnej samogłoski te ulegają przed spółgłoskami zwartemi rozczepieniu na samogłoskę ustną i spółgłoskę nosową i stąd mamy **zemby, prondy** pomimo pisowni zęby, prądy, która oddaje raczej stosunki małopolskie.

Wywody te usiłuje poczęści zbijać W. Taszycki (Przegl. Human. 5, 3, str. 323 id. Lwów 1930), który podnosi względność i niepewność historyczno-chronologiczną przytaczanych przez Nitscha i Lehra - Spławińskiego argumentów.

Najmocniejszy z tych argumentów, tj. brak mazurzenia właściwy dialektowi kulturalnemu, wobec którego — można powiedzieć — schodzą na plan dalszy wszystkie inne kontr - argumenty (fonetyczne), jakie można wogóle wysunąć przeciwko tezie wielkopolskiej (takie jak brak dyftongicznej wymowy ogólno - polskich samogłosek **a, o, y**, która to wymowa, właściwa jest Wielkopolsce, gdzie np. liter. **trawa, nóż, myszy** odpowiadają formy gwarowe **trouva, nuysz, myszyi,** gdy tymczasem bliższe pierwszym są małopolskie **trova, nusz, myszy.** Por. St. Szober, (Gram. Jęz. Pol. I. 197 id. Warszawa 1931 r.) — usiłuje podważyć znowu Taszycki (Przyczynek do historji mazurzenia w jęz. polskim. Prace Fl. XV. 2. Warszawa 1931) na podstawie niedostatecznie zbadanej ortografji zabytków ksiąg sądowych i grodzkich — jak to ostatnio wykazałem (Sprawozd. Pol. Ak. Um. XXXVIII. 5, 19 id. Kraków 1933), — że na terenach obecnie mazurzących jeszcze w wieku XIV i XV mazurzenia wogóle nie było (!). Jest to oczywiście sprzeczne z tem, co wiemy skądinąd o względnej chronologji postawienia tego zjawiska, którą ustalili M. Rudnicki (Symbolae Gram. I 58 id. Kraków 1927) i M. Małecki (Prace Fil. XV, 2. Warszawa 1931), a z której wynika, że stało się to nie później jak przed wiekiem XII.

Ostatecznie zarówno Brückner (Geschichte der ält. poln. Schriftsprache, Leipzig 1922, str. 51 oraz Pamięt. Liter. 25, str. 1 id. Lwów 1928) jak Nitsch (Symbolae Gram. 2, str. 451. Kraków 1928) zbliżyli swoje stanowiska i podczas gdy pierwszy pod wpływem argumentów językowych uznaje Wielkopolskę za podstawę języka kulturalnego a Małopolskę za kolebkę języka literackiego, (robi przytem specjalną różnicę między temi pojęciami), to drugi, uwzględniając argumenty historyków, formalnie godzi się na to, że t. zw. język literacki mógł powstać w Małopolsce, ale w Małopolsce, której mowa mocno już była zmieniona pod wpływem dialektu wielkopolskiego, uchodzącego za lepszy".

Nie ulega wątpliwości, że w epoce zanim jeszcze powstało piśmiennictwo polskie, istniał już pewien rodzaj dialektu kulturalnego, którym się posługiwał choćby dwór królewski. Ponieważ ośrodkiem państwowym najwcześniej była Wielkopolska — a jak wiadomo czynnik polityczny jest decydujący, tam gdzie kulturalnej różnicy być jeszcze nie mogło — nic więc dziwnego, że ona właśnie i jej przewaga polityczna musiała tu odegrać rolę. Niemniej jednak potem i inne dialekty wywarły swój wpływ na rozwój polskiego dialektu kulturalnego.

HILARY MAJKOWSKI

Współczesna plastyka w Czechosłowacji

Sztuka czechosłowacka mało ma dziś wspólnego ze sztuką polską i oba narody dowiadują się o sobie tylko wypadkiem i ubocznie[1]). A przecież jeszcze nie tak dawno, służyło malarstwo nasze czeskiemu za wzór, odkrywając przed nim nowe drogi. Jeden z najznakomitszych współczesnych historyków sztuki przy Uniwersytecie Karola w Pradze, dr. V. V. Stech pisze, że w latach siedemdziesiątych żywiołowy prąd do wyswobodzenia się narodowego, moralnego, politycznego i socjalnego dotyczył również sztuk



Karol Dvorak („Manis“) — „Głowa“ (drzewo)

pięknych i żądał od nich, by odpowiadały one potrzebom narodu. Usiłowania ówczesnej młodej generacji artystów odwracając się od wzorów niemieckich, zwróciły się do Polski — zgodnie zresztą z ogólnym ówczesnym nastrojem i pod wpływem przekładów z literatury naszej — w sztuce polskiej, szukając wzorów malarstwa ojczystego i bogactwa formy.

„Umelecka Beseda“, stowarzyszenie artystyczne, założone przez Smetanę i Józefa Manesa, urządzała wystawy obrazów Matejki („Unji Lubelskiej“ — 1863 r., „Batorego pod Pskowem“ — 1873 r. i „Hołdu Pruskiego“ — 1885 r.), Siemieradzkiego („Neron“ — 1879 r.), Ajdukiewicza, Jacka Malczewskiego, Wojciecha Kossaka iin. Esteta i założyciel salonu, dr. Mirosław Tyrs, z wielkiem entuzjazmem propagował malarstwo słowiańskie, a przedewszystkiem polskie. Szczery poeta i krytyk — dotychczas żyjący — Jerzy Karasek ze Lvovic, zebrał dość pokaźną liczbę — przeszło sto dzieł artystów polskich — (w tem około 30 płócien Malczewskiego) i przed kilku laty ofiarował galerję miastu Pradze na własność. Stanowi on najbardziej atrakcyjną część „Tyrsuva Dumu“ po drugiej stronie Wełtawy, na tak zwanej „małej stranie“.

W roku 1873 zaproszono Matejkę na kierownika praskiej Akademji Sztuk Pięknych. Gdy jednak artysta (zresztą pod naciskiem pewnych kół krakowskich) zaszczytu tego nie przyjął, w Czechach uważano to za wielką stratę dla czeskiej i słowiańskiej sztuki i jako „wpływ tej historycznej fatalności, która rozdziela najbardziej pokrewne szczepy słowiańskie“. A chociaż nie doszło do bezpośrednich stosunków osobistych, wpływ polski widoczny jest jednak u kilku artystów malarzy, nazwanych „generacją Teatru Narodowego“. Uwidocznia się to najdokładniej na twórczości czeskiego malarza historycznego, Wacława Brozika, oraz w romantycznych rysunkach Mikuli Alesa, tworzącego pod widocznemi wpływami Grottgera.

Jeżeli chodzi o nowoczesną sztukę czeską, to kształtowała się ona na przełomie XIX i z początkiem XX wieku, od romantyzmu poprzez realizm i impersjonizm, aż do dzisiejszych kierunków artystycznych. W ciągu tego czasu czeska sztuka plastyczna — specjalnie malarstwo — poszczycić się może artystami, których dzieła śmiało porównać można z doskonałemi pracami artystów zachodnich. Naczelne miejsce zajmują artyści stowarzyszeni w związku plastyków „Manes“. Związek ten wydaje również najlepsze czasopismo, poświęcone sztuce plastycznej p. t. „Volne smery“ (Wolne kierunki), propagując nowoczesną sztukę krajową oraz obcą. „Manes“ przez dwa dziesiątki lat reprezentuje w Czechach nowoczesną plastykę, a członkami jego byli pierwsi impresjoniści czescy i pionierzy prądów nowych jak Preisler, Antoni Slavicek i Jiranek. Do dzisiejszego pokolenia „Manesa“ należą przedewszystkiem W. Spała, Rudolf Kremlicka, Z. Nejedli, Wincenty Benes, E. Filla, z młodszych: Muzika, Wachsmann, Trampota, J. Slavicek. Zaliczał się do nich również przedwcześnie zmarły malarz Piskac. Twórczość tego pokolenia nawiązuje do współczesnej „moderny“ francuskiej i jest od niej o tyle zależną, o ile ona, tak samo jak twórczość nowoczesnego pokolenia czeskiego wyszła z impresjonizmu i jego kulminacji — Cézanne'a, który wciąż jeszcze jest początkiem i punktem wyjścia nowoczesnej ekspresji plastycznej, a więc do twórczości reprezentowanej przez artystów jak, Picasso, Bracque, Matisse, Derain, Utrillo — i kilku innych.



Alfred Justiz („Umelecka Beseda“) — „Po kąpieli“ (olej)

Plastycy związku „Umelecka Beseda“ wydający programowe pismo „Zivot“ — wytwarny a literarny sbornik (Żywot, pismo dla sztuk pięknych i literatury), to drugie stowarzyszenie artystyczne, przodujące czeskiej pracy plastycznej. W przeciwieństwie do grupy „Manes“, która jest organizacją z programem wyłącznie estetycznym, „Umelecka Beseda“ jest stowarzyszeniem, uwzględniającem obok strony plastycznej również założenia ideologiczne. Program ten sformułowany jest jako sztuka o zabarwieniu społecznem. Treścią swą rustykalną sięga niekiedy po rodzajowe i idyliczne motywy z życia chłopów i robotników, odznaczając się dążeniem do nawiązania łączności z krajową tradycją kulturalną. Malarze „Besedy“ jak np. Rabas, Wojciech Sedlacek, Holy, Holar, Moravec, Ulrich, Karol Bohacek, Jares, Riedl i in. pod względem formy swych dzieł nie stoją daleko od współczesnych prądów plastyki. Najwięcej zbliżeni są do Utrilla — celnika Rousseau — i niektórych neoklasyków francuskich. Neoklasycyzm cechuje również rzeźby Karola Dvoraka, Bielka, Rudolfa Brezy, Kubicelka i in.

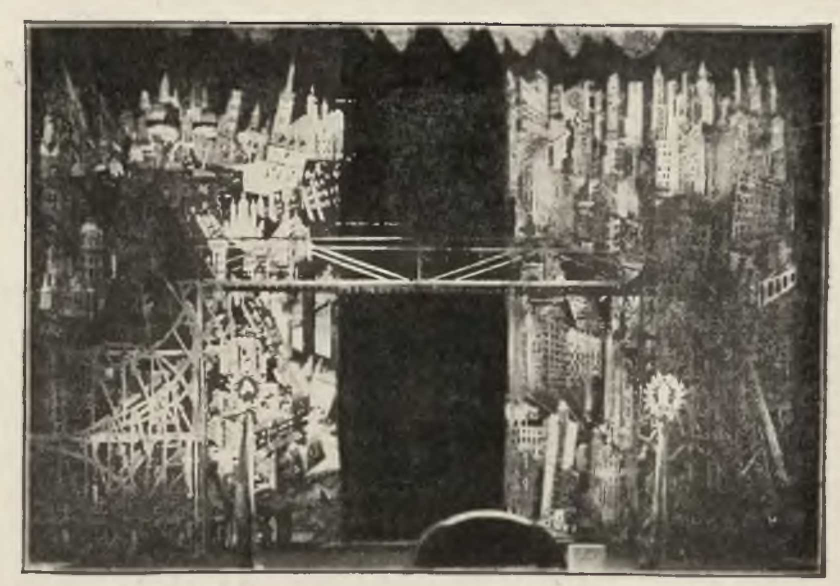
Z niestowarzyszonych wymienić należy przedewszystkiem Józefa Capek'a (brata, a także współtwórcę dzieł scenicznych głośnego dramatu „R. U. R.“, „Sprawa Makropulos“, „Adam Stworzyciel“ i in. Karola Capek'a), prymitywistę z pierwiastkami kubizmu, J. Zrzavy'ego, członka „Besedy“, zajmującego jednak co do treści prac zupełną odrębność, Wlastislawa Hofmanna, architekta i malarza, pracującego głównie w dziedzinie sztuki sceniczno - dekoracyjnej, rysownika Z. Rykra i karykaturzysty Hugona Boettingera, znanego z tysiąca reprodukowanych rycin jako „doktor Desiderius“.

W Brnie Morawskiem mamy grupę plastyków „Ales“, założoną przez zdolnego malarza, rysownika i grafika, Franciszka Podesve, absolwenta praskiej Akademji Sztuk Pięknych. Należą doń — z więcej zagranicą znanych — A. Kral, J. Zamarel oraz słowacy M. Benke i L. Fulle. Graficy czechosłowaccy zjednoczeni są w organizacji „Hollar“, wydający pod tym tytułem własny, luksusowy i świetnie redagowany kwartalnik. Spotykamy w „Hollarze“ obok starszych przedstawicieli sztuki graficznej (Svabinski, Simon, bracia Stretti, Zdenka Braunerova i in.) licznych młodych artystów o umiejętnem podpatrzeniu współczesnej sztuki zachodu.

Reprodukcje załączone do niniejszego artykułu są pracami członków dwóch najważniejszych grup, mianowicie „Manesa“ (Dvorak), „Umeleckiej Besedy“ (Rabas, Justiz) i niestowarzyszonego Wlastislawa Hofmanna, dekoratora „Narodni Divadla“. Ilustrują one w przybliżeniu tylko stan współczesnej plastyki czechosłowackiej.



Wacław Rabas („Umelecka Beseda“) — „Cyganie“ (olej)



Wlastislaw Hofmann (niestowarzyszony)

Dekoracja do „Adama Stworzyciela“ — Capka. „Narodni Divadlo“ — Praga

[1]) Na „lepsze“ zmieniło się dopiero w b. r. Odnotować tu należy wystawy grafiki czeskiej (tak czystej, jak stosowanej) w Warszawie, Poznaniu i Krakowie, kilka indywidualnych pokazów malarstwa czeskiego w Warszawie, a nawet nad polskiem morzem (Gdyni), popularne odczyty o sztuce czeskiej, wygłoszone przez historyka sztuki, prof. Zakavca z Brna, w maju b. r. na Uniwersytecie Poznańskim, oraz wystawę znakomitego malarza praskiego Fr. Podesvy w poznańskiem Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych, w październiku r. b.

O sztuce narodowej

Wiemy, że istnieje sztuka egipska, grecka, rzymska, włoska, francuska etc. Należy się zastanowić na czem zatem polega wyłączność, że dany naród, choć z początku był pod wpływem gotowej już sztuki sąsiadów, jednakże dopracował się w niej z czasem swoistego własnego wyrazu.

Otóż, mojem zdaniem, odrębność sztuki, czyli ujawnionej formy, stwarza odrębny duch, który ma swoje posłannictwo, swoich twórców i proroków, jest zdolnym do wytworzenia w każdej dziedzinie, a więc i w plastyce, swojej indywidualnej sztuki.

Jak się rzecz przedstawia z plastyką, a w szczególności z malarstwem naszego narodu?

Są tacy, którzy twierdzą, że wszystko co było wytworzonem w malarstwie polskiem aż do doby obecnej, było dobrem, było zależnem od sztuki Zachodu (czytaj francuskiej). Natomiast wszystko, co powstało poza tym wpływem francuskim choćby nawet zupełnie z ducha polskiego, to wszystko było niedoskonałem i błędnem.

W tem miejscu musimy się zastanowić, czy sztuka narodowa zależy od tematu, czy też jedynie od swoistej formy, jak chcą niektórzy.

Otóż, mojem zdaniem, jedno i drugie jest potrzebnem do wytworzenia się sztuki narodowej. Każdy twórca jest człowiekiem. Urodził się w jakimś narodzie, w jakimś otoczeniu i już przez to samo jego duch nabiera swoistych cech, mających pokrewieństwo z cechami duchowemi innych jednostek, które się w tym samym czasie i w tem samem społeczeństwie urodziły.

Przypatrzmy się np. takiemu malarstwu hollenderskiemu, które jest par excellence malarstwem narodowem.

Otóż artyści holenderscy wzorowali się z początku na mistrzach sąsiednich krajów. Wielu z nich jeździło po wpływy włoskie, tak jak dziś nasi artyści jadą dla uzupełnienia swych studjów do Francji. Kiedy ugruntowało się wśród nich techniczne znawstwo i malarskie wykształcenie zjawili się śmiałkowie, którzy przestali szukać formy obcej i zaczęli świeżemi, naiwnemi oczyma spoglądać na życie, które widzieli dookoła siebie. Już wtedy byli ludzie, którzy lekceważyli chłapomaństwo takich Fenniersów, Breughelów, Brouverów, lecz zapominali, że właśnie to pójście w lud, obserwowanie tematów, które codziennie miał malarz przed sobą, że właśnie to stanowiło podwalinę narodowej sztuki hollenderskiej, która w swym rozwoju szła szybko w górę, znachodząc swoją formę dla swej treści, wydając takiego poetę w malarstwie, jakim jest Rembrandt. Dlatego akademickiemi są wszystkie piorunowania przeciwko treści w malarstwie, gdyż tylko z treści własnej może powstać własna forma. To wcale nie przesądza, żeby w dzisiejszych czasach polscy artyści nie mogli się uczyć od zagranicy. Silne indywidualnie narody, tak jak i silni artyści nie muszą obawiać się obcych wpływów. Malarstwo polskie, które wydało Michałowskich, Grabowskich, Rodakowskich, Kotsisów, Matejków, Grottgerów i Malczewskich, dało dosyć dowodów swej impulsywnej żywotności.

Michałowski, ten primus inter pares, odrazu zdobył swój wyraz artystyczny, będąc par excellence malarzem, który miał swój temat, mianowicie głównie konia. Ukochanie konia było i jest charakterystyczną cechą Polaka. Jakiż długi szereg malarzy polskich traktował ten, tak ukochany przez ogół polski temat. Dość wspomnieć takie tylko nazwiska: Orłowski, Kossakowie, Chełmoński itd. itd. Kto oglądał szkice Michałowskiego i rysunki, które są do dziś dnia w posiadaniu jego rodziny, ten miał sposobność stwierdzić tę niesłychanie bogatą skalę studjów tego mistrza nad koniem. Nie mniej zajmowały go też byki i krowy. Temat batalistyczny „Napoleon na koniu“ zajmował go prawie przez całe życie. Świadczy o tem niezliczona ilość różnych kompozycyj w tym kierunku. Nie mniej naturalnie był on dobrym malarzem - portrecistą.

Tu należy przyznać, że Velasquez i Gericault byli jego chrzestnymi ojcami w malarstwie, których wpływy on jednak potrafił przetrawić i zaznaczyć wybitnie własną, typowo sarmacką indywidualność w owych dziełach.

Przyglądnijmy się też drugiemu rasowemu polskiemu malarzowi konia, tak popularnemu w naszym narodzie, Juljuszowi Kossakowi, którego u nas wszyscy znają. Ten mistrz rysunku i akwareli jest dziś, niestety, w Polsce, zwłaszcza przez młodych, dość zlekceważonym, jednak niesłusznie. Jego tysiączne przepiękne obrazy, przedstawiają z niezwykłą maestrją i przekonywującą prawdą życie polskiej szlachty wraz z nieodłącznym koniem. Stanowią one i stanowić będą zawsze nieocenioną wprost skarbnicę dla poznania życia polskiego w przeszłości. Jak w „Panu Tadeuszu“ Mickiewicz zostawił nam wiecznie żywy testament życia szlacheckiego — tak samo i Juljusz Kossak w swoistej, niesłychanie prostej formie zakuł na wieki w swych pracach to życie.

Przy tej sposobności trzeba się nad jednem zagadnieniem zastanowić, mianowicie, czy jest jakiś podstęp od Michałowskiego do Juljusza Kossaka. Otóż trzeba stwierdzić, że w sztuce niema postępu. Taki Daumier na początku 19 stulecia w sztuce francuskiej jest często w cale niebo wyższym od artysty francuskiego z końca tego stulecia.

Każdy artysta stara się znaleźć siebie w swej sztuce i odpowiednią dla swej indywidualności

Z ŻYCIA ARTYSTYCZNEGO

Wystawa Unierzyńskiego, Jabłońskiego i innych

w krakowskim Pałacu Sztuki

Bieżący sezon wystawowy szczyci się wspaniałą żywotnością i pełnem zainteresowaniem w kulturalnych sferach miasta i wśród wybitnych znawców i miłośników plastyki.

Listopadowa wystawa obejmuje obok bieżących prac przeważnie młodych artystów, wystawy zbiorowe: J. Unierzyńskiego, M. Jabłońskiego i Wł. Łopuszniaka.

J. Unierzyński pozostał wiernym tradycjom kompozycyjnego malarstwa z czasów J. Matejki. Treścią jego sztuki jest opowiadanie; mniej interesują go problemy czysto malarskie, jakimi są: barwa, światło i ruch. Pokaźna ilość oglądanych prac świadczy o prawidłowości, energji, żywotności i talencie sędziwego dziś artysty, który zadebiutował w sztuce przed 47 laty obrazem pt. „Zdjęcie z Krzyża" znajdującym się obecnie w zbiorach Muzeum Narodowego naszego miasta.

W świetlicy wystawił M. Jabłoński, uczeń J. Malczewskiego, cały szereg akwarelowych studjów pejsażowych. Artysta sprawił miłą niespodziankę wszystkim tym, którzy z życzliwem zainteresowaniem śledzą rozwój jego talentu.

Obecną kolekcją swych pięknych prac posuwa się naprzód w swej twórczości: są one pełne kolorystycznego wdzięku, poddanego w subtelnych tonacjach przejrzystej, świetlanej skali barwnej. Posiadają pierwszorzędne zalety malarskie i świadczą nader dodatnio o wyrazie artystycznym ich autora. Te świetne akwarele, pełne bogactwa jasnych barw, stanowić będą ważny etap w rozwoju tego utalentowanego artysty.

Władysław Łopuszniak dał również interesującą kolekcję kompozycyjną, studjów i szkiców pejzażowych, martwej natury i portretów, utrzymanych przeważnie w ciemnych tonach kolorystycznych. Młody ten artysta, uczeń prof. Mehoffera, transponuje na swój sposób zaobserwowaną naturę i odtwarza ją w syntetycznej formie i barwie, wyczuwanej bardzo wrażliwie. Zapowiada się dobrze i można mu, sądząc z obecnego pokazu, rokować piękną przyszłość.

Na wystawie bieżącej należy wyróżnić prace Naydera, J. Śliwki, W. Sawulaka i St. Paciorka, będącego pod wpływem Stanisławskiego w swych pejzażach, pełnych barwy, światła i dobrze wyczutego nastroju wsi podkrakowskiej **S. M. M.**

Wojna w krakowskiej plastyce

Od czerwca b. r. jest Kraków widownią walki, która wzbudziła zainteresowanie w całym polskim świecie kulturalnym, a którą toczą ze sobą dwie lokalne organizacje artystyczne: Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych (TPSP) i Związek Zawodowy Artystów i Plastyków (ZZAP). Plastycy atakują otwarcie, nie przebierając w środkach — Towarzystwo stosuje walkę defensywną, podjazdową, nie uderza w całość związku — tylko w jego prezesa, a pozatem stosuje taktykę przemilczania.

Ten charakter walki między organizacjami w imię interesów podnadosobistych został przez plastyków narzucony — faktycznie chodzi tu o rewalziację o władzę nad artystycznym światem Krakowa między prof. Jarockim prezesem TPSP a rektorem Szyszko - Bohuszem, rywalizację, która nie ogranicza się tylko do stanu obecnego, ale sięga (lub przynajmniej sięgała) w przyszłość.

Właśnie o ułożenie stosunków artystycznych w Krakowie w przyszłości wybuchła wojna. Rozpoczęto ją od gwałtownego ataku na dyrektora administracyjnego TPSP, zarzucając mu, bez żadnej zresztą słuszności, znaczne nadużycia. Schröder, człowiek chory, inwalida wojenny, nie miał siły do walki z zarzutami — popełnił samobójstwo. Śledztwo, wszczęte przez prokurature na skutek doniesień plastyków jeszcze przed śmiercią śp. Schrödera, wykazało całkowitą jego niewinność, odsłoniło zarazem niezbyt szlachetne metody walki plastyków. Plastycy zrazili sobie ogół kulturalnego społeczeństwa polskiego — ucichli na jakiś czas.

Natomiast Towarzystwo rozpoczęło kontrofenzywę, prowadząc, na łamach Il. Kurjera Codz., zaciętą kampanję przeciw prezesowi Związku redaktorowi Szyszko - Bohuszowi, przypominając mu dawniejsze grzechy, jako to „Feniks", osławioną „ozdobe" krakowskiego Rynku, zarzucając oszpecenie Wawelu, tudzież udowadniając, że wszystkie jego wybitne dzieła architektoniczne są kopjami rozmaitych budowli zagranicznych.

W obronie Szyszko - Bohusza występowali Kapiści, grupa artystyczna, która opanowała związek. Kapiści dużo piszą a mało malują. Piszą często dobrze, malują z zasady źle. Przy „moralnej" pomocy Legjonu Młodych stworzyli własny organ „społeczno - artystyczny" pod nazwą: „Gazeta Artystów", pismo, które wedle optymistycznych zapewnień wydawców t. zn. „legjonistów" każdy czyta a nikt nie kupuje. I tak walkę, która doprowadziła do śmierci prawdziwego legjonisty, kontynuują ludzie, którzy się przyznają do ideowej łączności z Legjonami.

Gazeta artystów, mimo swych licznych braków, łączenia twórczości artystycznej z polityką, przedstawia się jako pismo żywo i dowcipnie redagowane, zdobywające znaczny kredyt u Krakowian przez systematyczne zajmowanie się osobą posła M. Dąbrowskiego, wydawcy I. K. C. oraz „Tajnego Detektywa". Plastycy na jej łamach prowadzili w dalszym ciągu walkę o sanację w TPSP. Zarząd T-wa nie portafił się w sposób przekonywujący z niektórych zarzutów oczyścić, ale i na plastyków rzuciła ta walka niezbyt dodatnie światło, którzy niezawsze postępowali fair.

Tymczasem skończyła się sielanka z Legjonem Młodych. Plastycy opuścili „Gazetę" i założyli nowe pismo: Tygodnik Artystów, nie wprowadzając już polityki do sztuki. Z komunikatu jaki dała o tej secesji, wychodząca dalej, ale o pełnym charakterze młodolegjonowym, Gazeta Artystów, dowiadujemy się, że plastycy opuścili redakcję w niejasno pojętym interesie własnym" — legjoniści jednak prywatnie mówią wręcz, że zażądano od plastyków zaprzestania walki z poszczególnemi jednostkami, a nadania jej charakteru ogólnego. Daje to trochę do myślenia, jeśli się zważy, że plastycy uderzali przedewszystkiem w Marjana Dąbrowskiego.

Próbowano porównać spór krakowski do walki z plastykami i romantykami. Porównanie takie jest zupełnie chybione. Ci ludzie nie walczą o nowe wartości w sztuce, ale najzwyczajniej dopychają sie do żłobu, przy którym stoją inni. Plastycy ze Związku bynajmnije tego nie tają: od początku prowadzą walkę pod hasłem sanacji w TPSP i ograniczają się do oświetlania niejasnych punktów gospodarki Towarzystwa.

Niewiadomo kiedy i jak się ta sprawa zakończy. W każdym razie jej nasilenie już minęło. Ludzie przestają się emocjonować generalnem praniem brudów w artystycznej familji.

Mieczysław Pszon.

Wystawa zbiorowa Kazimierza Sichulskiego

w krakowskim Pałacu Sztuki

Na wystawie zebrano 133 prace Sichulskiego z całego okresu jego działalności, a więc rysunki, akwarele, witraże, prace dekoracyjne. Wystawa daje pojęcie jak wygląda malarstwo Sichulskiego i jaki jest jego charakter. Wskazuje, że właściwem polem jego pracy jest dekoracja. Wszystko, co prócz niej tworzy jest powtórzeniem i przekształceniem programu i myśli w niej przeprowadzonych. Na wystawie najliczniej nagromadzono dlatego prace dekoracyjne. Charakter ich to wielkie bogactwo folkloru i motywów ludowych, przetransponowanych na własną miarę i sposób. Głównym ich elementem jest linja bogata i rysunek oraz czysta i silna barwa.

Osobną, godną uwagi, dziedziną twórczości Sichulskiego jest karykatura. W niej właśnie rysunek znajduje największe pole do działania i wydobywania maximum wyrazu i charaktru, okraszonego głęboką satyrą.

Poznańscy malarze na „Wystawie Gwiazdkowej"

Wystawom gwiazdkowym trudno jest dociągnąć się do poziomu, który, niech się mówi co chce, zawsze jest niższy od poziomu wystaw innego rodzaju. Trudno powiedzieć, co na to wpływa czy brak odpowiedniej selekcji wystawiających i pobłażanie jury, czy wielka różnorodność i niejednolitość, czy wreszcie panujący już „świąteczny, lekki" nastrój. Dość, że należy stwierdzić fakt nie dający się zaprzeczyć, potwierdzany stale przez corocznie powtarzające się zdarzenie.

I tak się sprawa przedstawia z obecną „Wystawą gwiazdkową" w Tow. Przyj. Sztuk P. Duża liczba wystawiających (ok. 30), na stosunkowo niewielką liczbę eksponatów, daje pojęcie o mocno różnorodnem i nierównem obliczu wystawy. Wiele rzeczy nie powinno się znaleźć na wystawie, gdyż nie spełniają warunków, jakich wymaga się nawet od przeciętnego dzieła sztuki i stwarzają fałszywe niekiedy mniemanie o ich twórcach, którzy dali się poznać także z innej, lepszej strony swej działalności.

Niema celu wyliczać tu wszystkich artystów poszczególnie z ich niedociągnięciami, słabostkami i błędami. Wystarczy stwierdzić brak wiadomości i praktyki technicznej (u paru, którzy pierwszy raz lub na nowo wystąpili), brak obserwacji natury, dyletantyzm w ujmowaniu rozmaitych zagadnień.

Z artystów, którzy stanęli na poziomie należy wymienić na pierwszem miejscu Dziurzyńską - Rosińską. Pejzaże jej objawiają dużo nowych u niej rzeczy. Wielkie ożywienie kolorystyczne idzie w parze ze śmiałą formą naturalistyczną. Barwy są szeroko i zdecydowanie rozrzucone, a zarazem zgrane w doskonałą harmonję. A wszystko wykonane z dużem wyczuciem i umiejętnością. Najlepsze jest Jezioro góreckie, gdzie wszystkie te zalety występują najmocniej.

Jako jedyny z rzeźbiarzy wystąpił Marcinkowski z kolekcją plakiet portretowych i dwoma figurami. Plakiety są potraktowane w innym niż zwykle u niego stylu. Realistyczny modelunek wydobywa maximum charakteru i wyrazu z twarzy ludzkiej. Najlepsza z nich jest plakieta O. Efrema.

Akwarele Augustynowicza, przedstawiające kwiaty, wykonane z wielką maestrją, dają całą gamę kolorów i odcieni, zespolonych w nadzwyczaj miłe i ładne plamy. Zadziwia widza Królowa Jadwiga, którą artysta potraktował bez żadnego wyrazu duchowego, gdy właśnie nadarzało się pole do odtworzenia majestatu królewskiego i do wydobycia i podkreślenia uczucia i ekspresji.

Batycki w swych akwarelach zawsze dobry. Wielka łatwość i zdolność w operowaniu techniką, pozwalają mu stwarzać obrazy pełne nastroju i wdzięku. Pejzaże Pajzderskiej i Bartla odznaczają się dużem wyczuciem, podpatrzeniem natury i umiejętnem wydobywaniem odpowiedniego wyrazu. Hannytkiewicz zbliża się w swej fakturze do Pankiewicza. Ma duże poczucie kolorystyczne, ale nie ma tej skali efektów co on. Sprawia to, że obraz zdaleka działa jako ładna barwna plama, ale zbliska nie potrafi widza zainteresować.

Z obrazów zmarłego Męciny - Krzesza najlepsze są dwa pejzaże, z których drugi, nocny, jest bardzo ciekawy w pomyśle i efekcie. Mały portrecik Eichlera jest dobrze uchwycony i namalowany. Wiejska dziewczyna Mukułowskiej pojęta z prostotą i dużym wdziękiem działa dekoracyjnie i malowniczo. Dwa obrazy Jasnocha są namalowane z dużem wyczuciem, zwłaszcza portret rybaka.

Z grafiki warto wymienić dobrze narysowaną akfafortę Uliczka Mondrala oraz dwa widoki z Poznania, wykonane z dużem wyczuciem architektury, Kabacińskiego.

P. Romanowski.

W poznańskim IKS-ie

Wystawa Jana Szancera z Krakowa, Ludwika Tyrowicza ze Lwowa i J. Żoka.

Szancer ma duży talent rysunkowy i wiele umie. Posiada poczucie nowoczesności, rysunki jego mają swoisty, oryginalny styl i charakter. Linja prowadzona śmiało i z rozmachem ma dużo wyrazu.

Rysunki Szancera są ciekawe przez inne ujmowanie postulatów nowoczesnej sztuki ilustratorskiej. Odrębność uwidacznia się także w pewnym iluzjoniźmie z jakim traktuje swe postacie. Żywa wyobraźnia i fantazja malarska nasuwają mu wciąż nowe pomysły interesujące widza. Nadto posiada Szancer dobre wyczucie charakteru typów czy środowiska, które przedstawia, co naprzykład uwidacznia się najlepiej w rysunkach z Maroka i Algieru.

Operuje przeważnie Szancer w swych rysunkach linją, podkreślając jej ciągłość i piękno, ale i używanie bryły, światła i cieni, niekiedy bardzo silnie skontrastowanych, służy mu także do wydobywania specjalnych efektów. W swych pracach ilustracyjnych posługuje się ołówkiem, piórkiem czy pendzlem, umaczanem w czarnym tuszu, a więc techniką jednobarwną. Kilka studjów kolorowych, malowanych pastelem, odznacza się lekkością i delikatnością rysunku i barwy. Wyróżnia się z nich Głowa Arabki. Portrety olejne malowane są szeroko i raczej dekoracyjną fakturą.

Tyrowicz wystawia grafikę. Zdradza on duże opanowanie techniczne we wszystkich dziedzinach grafiki. Posiada zdolność łatwego komponowania i zestrajania rozmaitych motywów w zgraną całość.

Cztery rzeźby Żoka świadczą, że artysta nie bawi się w szczegóły, lecz silnie w szerokich płaszczyznach i zwartej bryle modeluje rzeźbę, obojętnie czy to jest grupa figuralna czy portret kobiety. **P. M.**

W warszawskim IPS-ie

Wystawa pośmiertna Władysława Skoczylasa.

Wystawa objawia nam w całej pełni zasługi nietylko Skoczylasa - artysty, ale i także Skoczylasa - człowieka. Doskonały katalog wystawy zakrojony na miarę monograficzną, będący zresztą przygotowaniem do obszernej pracy o Skoczylasie, napisany przez Tadeusza Cieślewskiego — syna, głównego organizatora wystawy, daje pełen obraz twórczości artysty na wszystkich polach jego działalności. Oznaczono czas powstania większości prac Skoczylasa, wymieniono wystawy, w których brał udział, artykuły jego o sztuce, wreszcie literaturę o nim.

Wystawa obrazuje rozwój twórczości Skoczylasa od czasów najwcześniejszych, przez powolne kształtowanie własnego stylu, aż do czasów ostatnich. Wielka rola Skoczylasa w tworzeniu młodej polskiej grafiki (ściśle drzeworytnictwa) należycie jest uwidoczniona. Jego zasługi, wielki zmysł organizacyjny i pedagogiczny razem z ogromnem talentem były należycie ocenione, gdy jako szef departamentu sztuki w Min. W. R. i O. P., profesor i rektor Akademji Warszawskiej, prezes Instytutu Propagandy Sztuki i wiceprezes Tow. Szerzenia Sztuki polskiej wśród obcych, rozwijał szeroką działalność na polu opiekowania się i kierowania młodą polską sztuką.

Muzeum Narodowe

w Krakowie

Budowa nowego Muzeum Narodowego w Krakowie jest sprawą doniosłej ważności. Największe bowiem w Polsce zbiory nie mają odpowiedniego pomieszczenia, albo wogóle go nie mają. Dlatego całe społeczeństwo polskie powino uważać popieranie budowy za swój obowiązek. Wspaniałe zbiory, dające pełen obraz całej polskiej kultury i sztuki, powinny być jaknajprędzej wydobyte na światło dzienne i udostępnione dla zwiedzających.

Prace około budowy są już ustalone i rozpoczęte. Specjalne kierownictwo budowy Muzeum Narodowego czuwa nad jej wykonywaniem. Plany i projekty uwzględniają zasady nowoczesnej architektury i stosują najnowsze zdobycze muzeologji, tak, że gmach Muzeum będzie po wykończeniu najwspanialszym wyrazem techniki muzealnej.

Koszta budowy całego gmachu wynosić będą 5.000.000 zł. Ofiarne społeczeństwo uzbierało już 1.600.000 zł. **P. R.**

---

formę. Dlatego jeden artysta - plastyk stanie się pożeraczem farb olejnych, drugi grafikiem, trzeciemu wystarczy sam nagi rysunek. Tu niema żadnej klasyfikacji. Grafik Wyczółkowski, akwarelista Falat, olejny malarz Rodakowski, każdy na swój sposób się wyraża. Dlatego wszystkie szkoły i akademje są tylko uczelniami rzemiosła. Artyzmu nikt się od drugiego nie nauczy. Artystą trzeba się urodzić.

Sądzi się dzisiaj, że taki Matejko, Grottger, czy Malczewski, jako malarze ideowcy o treści literackiej pomylili się w swej twórczości. Otóż nie! Idee narodowe były dla nich prawie równorzędne z urzeczywistnieniem ich plastycznem. Jak w gotyce artyści przejęci Bogiem służyli Mu swoją sztuką i jedynie, niemal że wyłącznie wypowiadali siebie i swoją wiarę w tematach religijnych, tak, aż trzej wielcy duchem nasi artyści, kochając nad wszystko swoją ojczyznę, zakutą w niewoli, rysowali i malowali tylko tematy patrjotyczne.

Że taki Matejko mógłby być bardziej dekoracyjnym i malarsko szerszym w swych płatnach, to inna sprawa. Był to błąd spowodowany głównie jego krótkowidztwem. Że Grottger, zetknąwszy się dopiero w swych ostatnich latach z francuską sztuką, nie dał swego ostatniego wyrazu we formie, umierając tak młodo, to również ideowość jego nie przeszkadzała mu w dążeniu do coraz monumentalniejszej i lapidarniejszej formy.

Wszyscy zapewne zdajemy sobie sprawę, jak doskonałym był mistrzem w opanowaniu formy, głównie rysunku J. Malczewski.

Jest chwałą Polski, że takich malarzy nie spotyka się w żadnej innej sztuce. „Wer den Dichter will verstehen, muss in Dichters Lande gehen" powiedział Goethe. Jakiegoś Goyę czy Zurbarana, także nie zaraz wszyscy docenili, gdyż na to trzeba było poznać środowisko, z jakiego wyszli i ducha, z jakiego wyrośli.

Niezaprzeczenie trzej wymienieni powyżej nasi artyści stanowią niejako etap sztuki w Polsce, przed jej wyzwoleniem.

Serce dzisiejszego artysty polskiego, żyjącego już w wolnej Polsce, powinno i musi uderzać w inne struny. W sztuce nic się nie powtarza. Twórczy duch żyje i dalej tworzy. Mamy na to dowody w kilkunastu żyjących i tworzących artystach w Polsce.

Walki, fermenty, kierunki i różnorodne hasła odzwierciadlają tylko tężyznę życia twórczego w wolnej Polsce. I w tem bogactwie i różnorodności ścierających się kierunków tkwi żywotność i siła każdego narodu, który ma coś własnego do wypowiedzenia.

Narodową zatem jest i będzie ta sztuka, która najmocniej i najwierniej w możliwie doskonałej i własnej formie ujawni genjusz narodu.

es.

POSŁANNICTWO MŁODYCH

(Dokończenie ze strony 1-szej)

I nie może być nikogo, ktoby, deklamując szumnie o poczuciu hierarchji i karności uważał, że musi ono obowiązywać wszystkich za wyjątkiem jego samego. Raz na zawsze w imię koleżeństwa i niezłomnego zaufania, zbiorowym wysiłkiem wszystkich prawdziwie uspołecznionych w swej świadomości i poczuciu obowiązków narodowych Polaków musi być zdeptana, wyhodowana i wytuczona w przeszłości hydra warcholstwa, małości i prywaty. Wszędzie i przez wszystkich wskazania narodowej moralności muszą być jaknajsumienniej przestrzegane.

Z tem bowiem łączy się zagadnienie a p o s t o l s t w a i d e i n a r o d o w e j. Musimy domagać się i pilnie tego przestrzegać, aby wszyscy we wszystkich okolicznościach życiowych szukali wskazań w narodowej moralności, a nie od okoliczności, zależnie według upodobania to tu, to tam. Tylko taka postawa zapewnić nam może zwartość na wewnątrz, szacunek na zewnątrz. Tylko taka postawa podnieść nas może do roli nowego narodowego zakonu, przestrzegającego z całą pilnością swej reguły.

W realizacji tych postulatów należy dopatrywać się m. in. p o s ł a n n i c t w a m ł o d y c h. Ich hasłami muszą być: 1) wierzyć bezwzględnie w wielką rolę młodego pokolenia, 2) nie oglądać się i nie wchodzić w kompromis ze zgranemi „silami" moralnemi czy politycznemi; 3) stwarzać budzić drzemiące i organizować nowe ośrodki siły politycznej i moralnej; 4) rwać kajdany, pętające niezależną polską myśl polityczną i kulturalną; 5) walczyć o urzeczywistnienie wielkiej przebudowy moralnej; 6) podnosić polski obóz narodowy do roli nowego zakonu.

M. S.

CHŁOP A PAŃSTWO NARODOWE

(Dokończenie ze strony 2-ej)

V. Oświata, zamożność i twórczość.

Wtedy oczywiście chłop musi zbiednieć i stracić wszelką nadzieję na wybicie się przez swoją własną pracę. Rewolucji taki chłop może i nie urządzić, gdyż nie zawsze ją można urządzić. Zrobić on może jednak rzecz o wiele dla przyszłości narodu groźniejszą t. j. popaść w całkowitą apatję gospodarczą i kulturalną. Nie mając możności dorabiania się będzie on rzucał rolę i jako proletarjusz — włóczęga, pójdzie do miast i na gościniec. Niestety dzisiejsza polska wieś zbliżyła się już bardzo blisko do takiego stanu, który powoduje bezwładną ucieczkę ze wsi z powodu niemożności życia na prawie swoich jeszcze zagrodach.

W Polsce bowiem, która jest przecie krajem chłopskim, chłop musi nietylko utrzymać olbrzymi aparat państwowy, ale także dziesięć procent ludności żydowskiej dobrze żyjącej, a mało produktywnej. Oprócz tego chłop musi utrzymać bankrutującą część wielkiej własności oraz wielki przemysł, a wreszcie dość poważną ilość miejskiej bezrobotnej ludności. Nic tedy dziwnego, że obecnie życie warstw chłopskich jest wprost straszliwe, jest nieraz nie do zniesienia. Rządy obozu narodowego muszą to wszystko zmienić, gdyż inaczej może dojść do katastrofy, jakiej jeszcze w dziejach Polski nie było.

Polski ruch narodowy musi w swym programie wysunąć na plan pierwszy umożliwienie chłopu jak najszerszej pomyślnej twórczości i pracy oraz możliwości te zagwarantować siłą i powagą prawa. Ponieważ ilości ziemi się nie powiększy, przeto trzeba będzie poza obcięciem niepotrzebnych wydatków publicznych, stworzyć i zorganizować wiele zajęć z dziedziny przemysłu domowego, wrócić np. do swojej wełny i lnu i do niejednej z tych dziedzin pracy, którą postęp przemysłu skazał na zagładę. Jednem zdaniem zagadnienie zamożności i oświaty muszą się znaleźć w służbie twórczości, gdyż ta dopiero jest najlepszą szkołą narodową, dając narodowi równocześnie środki do jego walki o miejsce na ziemi.

OBRZĘDY BOŻEGO NARODZENIA NA POMORZU

(Dokończenie ze strony 3-ciej)

Odrębny jest też przebieg wieczoru wigilijnego, który mniej nosi cech obrzędowych, zwłaszcza na północy Pomorza. Te właśnie poszczególne odchylenia, odrębności, czy odmiany kwalifikują pewien wycinek kraju jako regjon o swoistej fizjognomji kulturalnej. Jeżeli tych odmian jest bardzo wiele, a odrębności między poszczególnemi regjonami nie mają żadnej stycznej — wówczas już nie mamy do czynienia z regjonem, ale z odrębną dzielnicą, z częścią kraju o innej strukturze kulturalnej. W takim razie — więcej będzie różnic niż podobieństw i daną dzielnicę będzie należało traktować jako samodzielną jednostkę, wyznaczając jej odrębny sposób badawczy w dziedzinie naukowej, czy naukowo - społecznej.

Pomorze cech swoistych posiada bardzo wiele i stanowi jako regjon — teren badawczy, do którego stosować trzeba dość skomplikowane metody, ze względu na zróżnicowanie wewnętrzne Niemniej jednak cech wspólnych z macierzą polską znajdziemy tak wiele, że czy to w dziedzinie obrzędowej, czy społecznej, lub materjalnej ludu pomorskiego, kontakt duchowy nawiązać możemy z największą łatwością.

Dlatego Boże Narodzenie na Pomorzu traktujemy jako dział obrzędowości polskiej, podkreślając jedynie swoiste cechy, jak przy każdym innym regjonie.

„Norwid"

Zygmunta Wasilewskiego

Mimo zapowiedzi Redakcji książki tej[1]) recenzja, której napisanie mi powierzono, nie ukazuje się w dzisiejszym numerze „Głosu". Zdałem bowiem sobie sprawę, po bliższem zaznajomnieniu się z „Norwidem", że jest to dzieło, zważywszy dzieje dotychczasowe pośmiertnego życia Norwida, r e w o l u c y j n e. By zdać sobie w pełni sprawę w jego niesłychanej doniosłości, wagi i nowości, konieczny jest pewien wobec dzieła tego dystans, któryby umożliwił w chaosie pierwszych impresyj plastyczne dojrzenie i przyzwoity osąd centralnych i najbardziej istotnych momentów nowej publikacji jednego z najlepszych polskich krytyków literackich. Ażeby stworzyć ów dystans, do tego znów potrzeba przedewszystkiem — czasu. Wobec tego recenzja „Norwida" Z. Wasilewskiego pt. „C z ł o w i e k ż y w y" ukaże się na następnym numerze „Głosu".

Remigjusz Ney.

[1]) Zygmunt Wasilewski: „N o r w i d", Warszawa — 1935, str. 243. Skład główny w Administracji „Myśli Narodowej", Al. Jerozolimskie 17.

KILKA LISTÓW CYPRJANA NORWIDA

(Dokończenie ze strony 5-tej)

Racz chętnie przesłać mi list do kogo z poważnych dziś i zrób to uczciwie, jak wiem, że potrafisz. Niech wiedzą, kto jestem. Bo z kalectwem mojem, we wilgotnem pruskiem więzieniu w 1846 nabyłem, i z bólem na twarzy, jak znów nos mój komu się nie spodoba, będę miał jeden więcej zachód, a widzisz, że mam ich sporo.

Jeden jakiś, nieznany mi, ale w czamarce, rzucił się, kiedy mię prowadzono, i protestował. Uśmiechnąłem się i zapłakałem w sercu. Choć jeden.

Paris, 1870 Septembre. C. N.

Rue Lallier 3, près Martyrs.

(Adres:) Monsiur Mr le Général Louis Mierosławski 23, rue St. Etienne du Mont, près Panthéon, Paris. (Stempel pocztowy:) 23 Sept. 1870. Paris.

Nota wydawcy: Autograf ze zbiorów rapperswylskich. — O stosunkach, jakie przez długie lata łączyły Norwida z Mierosławskim pisałem kiedyś w krakowskim **„Głosie Narodu"** 1931 nr. 347 i n. Tutaj jesteśmy bliscy ich epilogu. Przysługa oddana (zapewne; przecież Mierosławski „znał osobiście wszystkich członków nowego rządu", Wł. Mickiewicz, **Emigracja polska**, 76) przez generała poecie, uciemiężonemu życiem w oblężonym Paryżu, poecie, który parę tygodni pierwszy, w godzinach klęski, wyrażał swe uczucia we wspaniałym wierszu: „Jeszcze Francja nie zginęła! . . .", a oto został posądzony o szpiegostwo, — przysługa ta zamknęła zapewne ów dziwny stosunek. Krechowiecki (II 248) nie umiał jeszcze nic powiedzieć o położeniu Norwida w Paryżu pod koniec 1870 r.; migawkowe zdjęcie jednego momentu, zachowane w powyższym liście, mówi o niem aż nadto wyraźnie.

EDMUND MĘCLEWSKI

„Moje pieśni"

Niedawno na półkach księgarskich ukazał się tom poezyj wielkopolskiej poetki, Marji Paruszewskiej pt. „Moje pieśni". (Marja Paruszewska „Moje pieśni", Poznań 1934. Drukarnia Mieszczańska, str. 138).

To zbiorowe wydanie wierszy, powstałych na przestrzeni dwóch dziesiątków lat, na szczególną zasługuje uwagę. Raz ze względu na osobę autorki, znanej w szerokich kołach świata literackiego i artystycznego, a powtóre, że tętni w niem tak rzadko dziś spotykane szczere uczucie, że każda kartka tchnie prostotą i bezpretensjonalnością, że z za słowa każdego uśmiecha się serce I to jest właśnie najważniejszy walor książki.

Poetka normatywna, czy krytyk — teoretyk literatury niewątpliwie mieliby tu niejedno do powiedzenia. Tempo wiersza chwilami słabnie, rytmika nierówna, barwa strof przygasa.

Ale już o kartkę dalej — płomień. Płomień, wzniecony przez iskrę bożego talentu i pracę.

Nie dającą się przemilczeć niejednolitość formy i brak zwartości obrazów, położyć można z czystem sumieniem na karb tego, że wiersze te w różnych powstawały czasach i różnych okolicznościach. Ale w tem jest także zarodek ich siły i wartości.

Na którejkolwiek ze strof zatrzymamy wzrok, ku którejkolwiek z impresyj sięgamy, zawsze, jak już zaznaczono, czeka nas jedno: serce. Znać, że wiersze te powstawały, ilekroć wzruszenie silniej ściskało za krtań, ilekroć ktoś wielki i drogi przywiódł swą postać na pamięć, ilekroć widok jakiś, czy wydarzenie głębiej wryły się w duszę, wstrząsnęły myślą. Tak pojawiły się „Moje pieśni", odcyfrowane ze wspomnień drogich, pięknych — pyłem lat przyprószonych.

Już sam układ graficzny tomiku i rozłożenie materjalu, dokonane z pewnym pietyzmem, miłe robi wrażenie. Całość od „Nastrojów" i „Sonetów" poprzez cykl „W kraju słońca", „Motywy religijne", „Przekłady" i „Wiersze okolicznościowe", — po dysertacje filozoficzne (Schopenhauer „Na skrzydłach myśli") — skomponowana jest z kobiecą tkliwością i starannością.

Chwilami wreszcie i strofy całe płyną, jak perełki nizane z naszyjnika wspomnień, na którego straży stoi wielkopolskie serce. Perełki te mówią językiem niewyszukanym, pozbawionym napuszystości czy przerostu frazesu, językiem wielkopolskim. Język ten chwilami mocny jest i twardy („Pieśń Wielkopolan"), to znowu nabrzmiały uczuciem, przepełniony tęsknotą za czemś nieuchwytnem.

Są tu i przemiłe, proste obrazki z malarską wrażliwością i wnikliwością komponowane („Zasnęło miasto"):

„— z balkonu patrzę w gwiazd rozsianych krocie . . .
Większe i mniejsze według zasług płoną —
Miesiąc królewicz śród nich cały w złocie,
Roztacza blaski na ziemię uśpioną . . ."

Miłe, pełne melodyjności i doskonałej rytmiki są akrostychy („Dimitri Smyrnoff" i „Ada Sari") Dalej znowu poetka uderza w ton głęboki, poważny, (przekłady Heinego).

W tomiku wierszy p. Paruszewskiej znaleźć można niekiedy strofy pełne zadumy refleksyjnej, strofy tchnące głębią przeżyć. Świadczy to o szerokiej skali uczuciowej i wrażliwości artystycznej. Misję poety i jego stosunek do życia autorka precyzuje w słowach („Do poetów"):

„— . . tak — my jesteśmy jacyć inni ludzie . . .
serce z rozumem stale się boryka, —
i tak, w życiowym, bezustannym trudzie
wesołość ducha, swoboda zanika . . ."

Do niedawna jeszcze skarżono się na nieurodzajną glebę Parnasu wielkopolskiego. A jednak — nie brak i u nas poetów. Zbiorowe wydanie wierszy Marji Paruszewskiej najlepszym tego dowodem. W wierszach autorki „Moich pieśni" zamyka się świat wrażeń, nastrojów i przeżyć nietylko poetki, bo znajdziemy tam również głębokie wyczucie i umiłowanie wyzwolenia myśli i ducha polskiego.

Zamyka się w nich dusza wielkopolska.

Od Redakcji i Wydawnictwa

Począwszy od bieżącego numeru „Głos" będzie ukazywał się dwa razy miesięcznie: 5-go i 20-ego.

Pismo nasze, jako organ polskiej myśli narodowej, będzie służyło nadal polskiej kulturze i ma ambicję oczyszczenia jej z tych obcych pierwiastków duchowych, które ją rozkładają i niszczą, oraz odbudowania i ugruntowania rodzimej twórczości we wszelkich przejawach naszego życia.

Skupiając dokoła siebie ludzi twórczych, tak starszego, jak i młodszego pokolenia, „Głos" w swych stałych działach: ideowo-politycznym, gospodarczym i kulturalnym, będzie informował polskie społeczeństwo o wszelkich przejawach polskiej i obcej twórczości.

Przez stworzenie oddziałów redakcyjnych we wszystkich ośrodkach polskiej myśli twórczej, „Głos" dąży do objęcia swym zasięgiem całej Polski.

Pismo tylko wówczas jednak spełni swoje zadanie w całej rozciągłości, kiedy je poprą moralnie i materjalnie szerokie rzesze świadomych celów polskiej kultury Polaków.

Adres Redakcji: Poznań, Św. Marcin 65. Konto P. K. O. 201410 Adres Administracji: Poznań, św. Marcin 65.
PRZEDPŁATA (wraz z przesyłką) rocznie 6 zł. półrocznie 3 zł.
CENY OGŁOSZEŃ: cała strona — 240 zł. 1/2 strony — 130 zł. 1/3 strony — 90 zł. 1/4 strony — 70 zł. 1/8 strony — 40 zł. 1/10 strony — 30 zł.
Rękopisy nieczytelne, bez podpisu i adresu autora nie będą uwzględniane. Przedstawiciel Redakcji w Warszawie: Jan Bajkowski; w Krakowie: Jan Bielatowicz. Rękopisów nie zwraca się.
Redaktor naczelny i wydawca: J a n W y g a n o w s k i, Poznań, Redaktor odpowiedzialny: S t a n i s ł a w S i e c i e c h o w i c z, Warszawa.
Czcionkami Drukarni Wydawniczej Fr. Krajna Sp. z o. o. Poznań, ul. Strzałowa 2a.